Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 2 (1790) • 10–16 stycznia 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Jebać sentymentalizm

str. 14

Czas wyjść z klatki

str. 6

AŻYLANCI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223508 02

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 176d1681c2

WOJNA DOMOWA

Marszałek Hołownia poinformował kandydata Hołownię (a przy okazji wszystkich innych kandydatów), że 15 stycznia ogłosi, że wybory prezydenckie odbędą się 18 maja. *Nie muszę chyba mówić, jak ważny jest to moment: wybieramy zwierzchnika Sił Zbrojnych* – przemawiał podniośle Hołownia, a my sobie pomyśleliśmy, że jeśli to pierwsza rzecz, która przychodzi mu do głowy jako najważniejsza funkcja głowy państwa, to on chyba faworytem nie jest. Fakt, że ma żonę w armii, to jednak nieco za mało. A tak swoją drogą: może bardziej od „zwierzchnika sił zbrojnych" potrzebny nam jest „strażnik konstytucji"?

Czy PiS dostanie pieniądze z budżetu – nadal nie wiadomo, niezależnie od rzuconej z wdziękiem na platformę X uwagi Tuska: *Pieniędzy nie ma i nie będzie. Na moje oko tyle wynika z uchwały PKW*. Rzecz w tym, że wzmiankowana uchwała stanowi, że komisja uznaje orzeczenie specizby SN – to, że kaczystom kasa się należy – ale równocześnie sugeruje, że nie uznaje, bo w sumie to nie jest orzeczenie sądu. Minister Domański może – ale też nie może – zdecydować, albowiem jego rola jest stricte administracyjna i musi wykonywać wyroki sądów i postępować według przepisów prawa, tylko nie ma zgody co do tego, jakie one są. Nie ma wątpliwości, że jest to efekt burdelu, jaki w sądownictwie zrobiła poprzednia władza – ale obiektywnie rzecz biorąc, porządkowanie go obecnej idzie średnio. Trzynaście miechów właśnie stuknęło.

Wiadomo za to – żyła tym cała Polska – że pieniędzy z budżetu nie dostanie poseł Romanowski, który aktualnie bawi na Węgrzech i z tego tytułu zrezygnował z pensji poselskiej. Diety zabrał mu Hołownia, bo nie sprawuje mandatu w Polsce, ale nadal dostaje ryczałt na biuro poselskie, z tym, że już niedługo, bo powstała w tej sprawie specjalna ustawa, zwana przez media – a jakże – lex Romanowski. Głos w sprawie zabrał Jarosław Kaczyński: *Ja pamiętam, jak chory był świętej pamięci Jacek Kuroń, to nie wypełniał tych obowiązków przez całe miesiące, może nawet dłużej, a przecież nikt go nie eliminował z sejmu*. Prezes dodał łaskawie: *Oczywiście to są sytuacje nieporównywalne, ale jednak pewna analogia występuje, tj. niemożność wykonywania, która jednak nie powoduje utraty mandatu poselskiego*. Analogia jest o tyle nietrafiona, że kiedy trzy lata po stanie wojennym władza zaproponowała wciąż internowanej jedenastce opozycjonistów wyjazd za granicę, Kuroń, podobnie jak reszta, odpowiedział władzy, żeby sobie tę wycieczkę w dupę wsadziła. Jest jednak pewne podobieństwo: także w 1984 r. za biuro podróży robił Kościół kat. Rulewski nazwał to wówczas *sojuszem pałki i pastorału*.

W Warszawie kurier przejechał 14-latka na pasach. Na śmierć. Rychło okazało się, że kurier miał zakaz prowadzenia pojazdów, co pogłębiło oburzenie społeczne, więc wicepremier minister cyfryzacji Gawkowski bystrze podstawił nogę do kucia i ogłosił na błyskawicznie zwołanej konferencji prasowej, że *w takich sytuacjach państwo musi działać szybko i bezwzględnie*, toteż ministerstwo udostępnia CEPiK firmom kurierskim, żeby każda mogła sobie sprawdzić, *czy osoba, którą zatrudnia, której daje pracę, może poświadczyć się uprawnieniami, na przykład dostępnością prawa jazdy*. Abstrahując od ekstrawaganckiej składni wicepremiera: problem w tym, że firmy kurierskie nikogo nie *zatrudniają*. Rafał Brzoska – który skądinąd skwapliwie ogłosił, że inkryminowany kurier nie jeździł dla InPostu, tylko dla *konkurencyjnej firmy kurierskiej* – uważa, że etat to przeżytek komunizmu; czym nie różni się od innych „pracodawców" z tej branży. Kurier zabójca pasowy robił dla UPS, które oświadczyło, że *pojazd należący do partnera serwisowego uczestniczył w śmiertelnym wypadku* i że *partnerzy serwisowi są niezależnymi firmami i oczekujemy, że będą przestrzegać prawa i przepisów*. Tym różnią się oczekiwania od zakresu obowiązków zapisanych w umowie o pracę.

Jurek Owsiak ogłosił w socjalach, że mu grożą. Rozpoczął swój wpis słowami: *Jeżeli dożyję jutra*… I dalej: *Groźby bardzo konkretne, z bombą w tle i utylizacją mojej osoby* – napisał, po czym zilustrował dialogiem telefonicznym: – *Dodzwoniłem się do biura Owsiaka?* – *Tak.* – *Trzeba go zastrzelić, to chuj jeden*. To ma być *konkretna groźba*? Serio? Trzeba było z Urbanem pogadać. Teraz trochę za późno, ale słowo honoru: nikt go nie zastrzelił, umarł w dobrobycie ze starości, *chuj jeden*. W dyskusję o agresji i groźbach w polityce także włączył się Jarosław Kaczyński, który zgłosił żal, iż w przypadku ataków na stronę prawą, czyli *dużo bardziej przyzwoitą*, media się nie przejmują, a na przykład on osobiście jest ofiarą hejtu bez przerwy. Nie jest łatwo być prezesem.

À propos obelg pod adresem osób publicznych: niejaki Rola, niegdysiejszy dziennikarz „Do Rzeczy", rzecznik Kukiza, przyjaciel Ordo Iuris, wróg islamu i feministek, współautor dzieła „Kulisy manipulacji" – słowem: Polak i katolik – występując w telewizji internetowej wRealu24 w sylwestra, był najebany. Wielka rzecz, nie o to chodzi. Otóż Rola ów odezwał się do dzwoniącego do studia widza słowami, które zostały przez inne media donoszące o skandalu przekazane w sposób następujący: *Nie przerywaj mi teraz, bo to jest bardzo istotne. Ok, jeżeli się pomylę, to mnie generalnie w********e w d*****o – rzucił Rola*. No żeż, kurwa wasza mać, koledzy redaktorzy, co to niby ma być, Koło Fortuny? Z naszej strony obstawiamy *wyjebiecie w dupsko*, ale chętnie byśmy jakąś spółgłoskę kupili. A niektórzy się dziwią, że tygodnik „NIE" jest taki wulgarny. Piszemy, jak się mówi, żeby Czytelnicy nie musieli zgadywać, o co nam chodzi.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

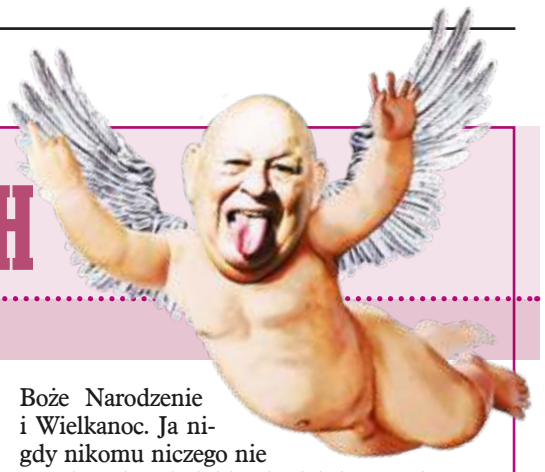

Styczeń 2013 r.

Świętego Bazylego

À propos Miss Ameryki. Daniszewska sprzedała swój statek „Aurora" (pisany cyrylicą). Nie dawał już tych uciech i wesołości, co niegdyś. 20 lat temu płynęliśmy na Mazurach i dobiło nam do burty grono napitych znajomych i obcych. Naprzeciwko mnie usiadła na dolnym pokładzie milcząca dziewczyna, na którą jej towarzystwo nie zwracało uwagi. Ja zacząłem ją lustrować, smakując dzieło sztuki: stopy z „Piety" Michała Anioła, nogi z reklamy pończoch, talia Lopez, pierś Bardotki, szyja łabędzia z „Jeziora" Czajkowskiego, twarz trzy razy lepsza niż Marilyn Monroe.

Powiedziałem do żony: – Siedziała tu dziewczyna, nawet jej nie zauważyłaś, nikt nie zwracał na nią uwagi. Gdzieś na Zachodzie byłaby aktorką, modelką, twarzą z okładek, kochanką króla arabskiego albo miliardera. Nosiłaby brylanty jak jaja po czerwonym dywanie. A u nas przydawka towarzystwa od producenta śrub i nakrętek.

Byłem w błędzie – kontemplowałem dziewczynę, która rok czy dwa lata wcześniej została Miss Świata. Nazywała się bodaj Kręglicka.

Świętej Genowefy

Obgadywaliśmy w gronie złośliwych dam Marię Czubaszek, najdowcipniejszą uczestniczkę „Szkła kontaktowego" na oleju (TVN 24 od 22.00 do wyrzygania). Czubaszek zawsze była ładna i pełna wdzięku, aż wyrosła na przemiłą dowcipną staruszkę i zaczęła gwieździć w TVN. Wówczas przerobiła sobie głowę i twarz na sześćdziesiątkę. W swoim mniemaniu zarobiła dychę, w moim – straciła wygląd. Sprawił to telewizyjny kult młodości; kobiety się zasuszają jak kwiaty w dawnym zielniku.

Telewizja powinna tryskać młodością, ale starość stała się niecenzuralna, chyba że chodzi o sędziwego mędrca. Stare kobiety można pokazywać jako ofiary losu w hospicjum albo zbierające żywność w śmietnikach. Albo jako babcie Solidarności – żywe świadectwa historii. Starucha, która zabawia, wychodzi ze swej roli babci-Polki. To jak kupę na ekranie robić…

Koniec dyskryminacji z powodu wieku mógłby zostać przedstawiony jako Maria Czubaszek przywrócona naturalnej starości tańcząca nago na rurze. Z jej równolatkiem Berlusconim.

Śmieszniejsza od Czubaszek była w TVN24 tylko wigilijna dyskusja o Jezusie prowadzona przez rabina, piosenkarza i psychiatrę.

Świętego Odilona

W restauracji Dyspensa, najlepszej w Warszawie, całował mnie przypadkowo spotkany znajomy sprzed kilkudziesięciu lat i krzyczał, że Żydów żeśmy wyrzucili, a goście nie wiedzieli, kto i skąd. Emigranci z 1968 r. (ten przyjechał ze Szwecji) wciąż czują się wyrzuceni. Nie pamiętają, że minęły 44 lata i ich przejścia trafiły do podręczników historii, ale nie do pamięci. Żydowski krzyk zakłócił krewetkom chrupanie ich przez dwie młode biznesłumen.

– Nachlany – oceniły.

To też.

Świętego Edwarda

Aż do połowy stycznia zdyszana poczta przynosi mi ozdobne życzenia świąteczno-noworoczne, które, jak prosiłem, sekretariat wrzuca do kosza. Co mi za różnica, w czyim komputerze figuruję na liście adresowej do wysyłania życzeń? Jeden komputer życzy mi dobrze aż cztery razy w roku: na imieniny, urodziny, Boże Narodzenie i Wielkanoc. Ja nigdy nikomu niczego nie wysyłam, bo nie lubię głupich i pustych rytuałów, nie mam komputera i nikomu dobrze nie życzę.

Są ludzie, którzy kartony z życzeniami ustawiają sobie np. na fortepianie, który do tego właśnie służy – i są dumni, że aż 100 komputerów miało ich w pamięci. Puszą się popularnością. Jak się zajrzy, to widać, że polenił się papież, Obama, nawet Komorowski. Życzenia nadesłał wszakże zakład przeróbek i poprawek, gdzie adresat skracał sobie spodnie.

Świętej Epifanii

Ameryka ma przesrane do końca XXI w. Mój ośmioletni wnuk, uważając, że jego matka nad nim się znęca, mówi do niej: – Guantamamo.

Świętego Odilona

„Gazeta Polska Codziennie" tropi niesłuszne nazwy ulic np. PKWN, Gwardii Ludowej, Gomułki, Świerczewskiego. Przyznaje, że patronów nie można zmienić, ponieważ ludność się nie zgadza. Okazuje się, że egzorcyści są bezsilni wobec ducha komunizmu. „Gazeta" prosi o obywatelskie donosy tropicieli śladów „totalitaryzmu". Donoszę jako przodownik denuncjacji. W mojej posiadłości w Konstancinie stoi popiersie Lenina nadnaturalnej wielkości z radzieckiej porcelany. Mam także dużych rozmiarów socrealistyczny obraz, na którym Włodzimierz Iljicz naucza robotników (a mordy ich tępe). Posiadam salon im. Jakuba Bermana, chłodnię im. Dzierżyńskiego, jadalnię im. Stefana Olszowskiego i sypialnię im. Berii. Pływam w basenie im. Kominternu, zawsze bez majtek, żeby łatwiej było w dupę mnie pocałować. Voilà! ❑

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Zniewolenie słów

Prawdopodobnie ogarnęła mnie pomroczność jasna. Inaczej bowiem nie potrafię wytłumaczyć (sobie przede wszystkim), jakim sposobem napisałem – w tekście „Zniewolenie słów" (nr 51–52 z 20 grudnia 2024–2 stycznia 2025) – że słowo „komuch" zostało wymyślone w redakcji „Nie", na dodatek jako antidotum na „komunistę" lub „komunę". Myślałem oczywiście o wyrazie „solidaruch", który został wymyślony w „Nie", jako antidotum na wszelkich propagandowych „komunistów". I co ważne – przyjął się. Uważnych Czytelników przepraszam za tę bzdurę.

EUGENIUSZ KURZAWA

Szanowna Redakcjo

Jestem dopiero w trakcie czytania podwójnego numeru. Chciałbym podziękować Eugeniuszowi Kurzawie za artykuł „Zniewolenie słów". Czegoś takiego brakowało mi od lat. Wielokrotnie w dyskusjach tłumaczyłem, że w Polsce nigdy nie było komunizmu. My nawet nie potrafiliśmy zbudować prawdziwego socjalizmu. Nie dotyczy to nie tylko słów „komunizm" czy „postkomunizm". Rażą mnie słowa często używane w tv, radio, w prasie, na ulicy: „ruskie", „sowiety", itd. Przyznam się szczerze, że ja w czasach młodości (mam 76 lat), nawet będąc oficerem SB, często sam mówiłem „kacapy", narażając się na uwagi przełożonych: czy ja nie zapominam, gdzie ja pracuję.

Pod koniec lat osiemdziesiątych pojechałem na wycieczkę trasą: Mińsk–Moskwa–(dawny) Leningrad i właśnie tam w hotelu Leningrad do naszej pilotki podszedł uczestnik wycieczki z południowych republik z prośbą o umożliwienie rozmowy ze starszyną naszej grupy. Byłem wybrany starostą wycieczki, nadto kapitanem SB, więc skierowała go do mnie. Zadał mi pytanie, dlaczego tak ich nienawidzimy, a oni nas tak lubią, nas wyzwolili itd. Z zawodową podejrzliwością rozmawiałem z nim delikatnie, obawiając się prowokacji. Powoli wytłumaczyłem, zaczynając od zaborów, wpływu propagandy zachodniej i naszego kleru. Po latach rażą mnie słowa obrażające Rosjan i nawet na ulicy w Suwałkach potrafię zwrócić uwagę na niestosowność słów obrażających Rosjan, że gdyby nie oni, to taka osoba nie miałaby szansy skakać z jajka na jajko.

Powodem do napisania tego e-maila jest niekorespondujący z Pana artykułem zamieszczony na następnej stronie artykuł Tadeusza Jasińskiego „Długoletnie pożycie antykomunistyczne" gdzie aż się roi od sformułowań: „komunizm" i „antykomunizm".

JAN OKRĄGŁY, SUWAŁKI

Najwyższa pora, aby rząd – w tym i poszczególne ministerstwa – wydały rozporządzenia zabraniające wszelkim umundurowanym formacjom uczestniczenia w imprezach religijnych typu msze, pielgrzymki itp. Mam na myśli wojsko, policję, państwową straż pożarną, leśników, celników, służby skarbowe, inspekcję drogową, straż więzienną, harcerzy itp.

Również sztandary różnych publicznych instytucji, ich emblematy i logo – w tym np. szkół, ZHP, logo miejscowości czy regionów – nie powinny uczestniczyć w imprezach religijnych.

Osoby jako takie, jeżeli mają taką potrzebę religijną, niech sobie całkowicie PRYWATNIE, nie w grupach zorganizowanych, w prywatnym czasie i za swoje pieniądze uczestniczą w w/w imprezach, bez powoływania się na swoje instytucje i bez wymieniania ich nazw i pełnionych funkcji – np. funkcji radnego, sołtysa, wójta, burmistrza, komendanta policji, dowódcy jednostki wojskowej, rektora państwowej uczelni, posła, ministra czy prezydenta RP.

Tak samo powinny być w trybie pilnym wypowiedziane wszelkie umowy dotyczące organizacji pielgrzymek, zawarte kiedyś – np. z Episkopatem czy z częstochowskimi zakonnikami z klasztoru na Jasnej Górze – przez GUS, ZUS i inne instytucje. Przeglądu takich umów pisemnych, dotychczasowych praktyk telefonicznych, praktyk mailowych powinien dokonać każdy minister Rządu RP.

Podobnym tematem są sprawy tzw. kapelanów w różnych instytucjach budżetowych, których nie powinno być z przyczyn ogólnie znanych i których stanowiska powinny być szybko zlikwidowane.

Osoby z w/w instytucji łamiące prawo w zakresie świeckości instytucji publicznych powinny ponosić m.in. konsekwencje dyscyplinarne.

Myślę, że w tej sprawie powinien powstać prężny ruch obywatelski, powinniśmy nagłaśniać dotychczasowe praktyki jako rażąco niezgodne z Konstytucją RP, dobrze byłoby w tej sprawie zbierać podpisy pod petycjami do Premiera Donalda Tuska, pisać listy do mediów itd. Zaczął się 2025, więc z noworoczną werwą rozpocznijmy ogólnopolską dyskusję na ten temat, aby przygotować grunt pod decyzje i rozwiązania prawne dokonywane przez rady gmin, wójtów, burmistrzów, sejmiki wojewódzkie, rząd i parlament.

CZYTELNIK

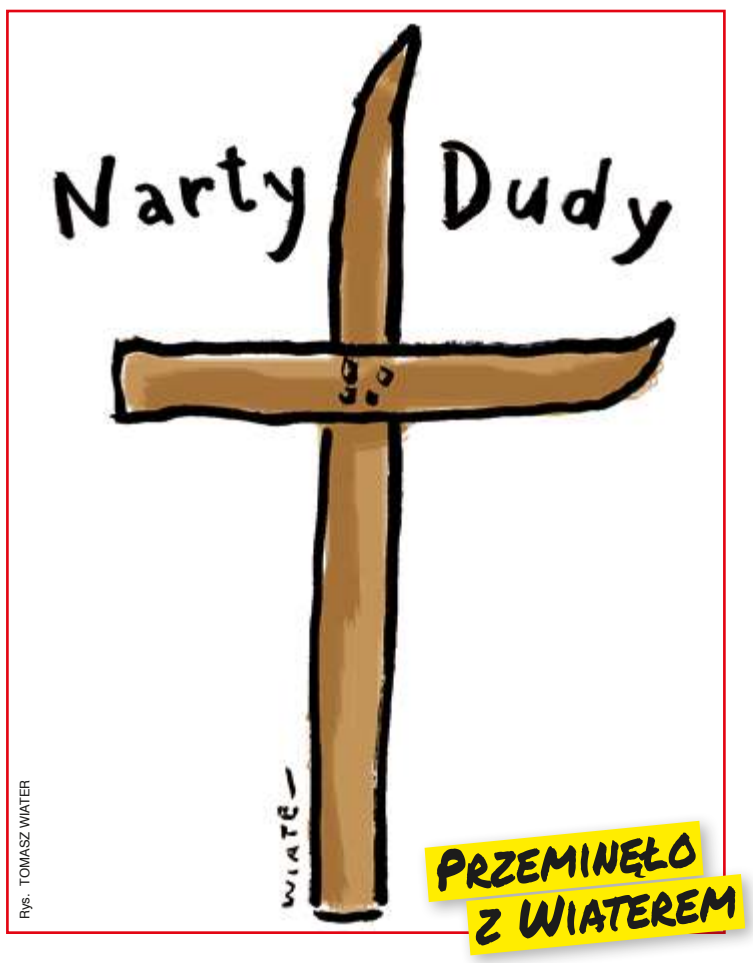

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl 176d1681c2

Nowa wojna trzydziestoletnia

Korespondencja z Rosji

Rys. MARCIN CHUDZIK

Byłem ostatnio w Rosji. Niewielu Polaków ostatnio może to o sobie powiedzieć. Tylko tydzień, ale za to w Petersburgu i Moskwie. W dzisiejszych czasach dobre i to.

Petersburg

Dostałem zaproszenie na konferencję naukową, organizowaną m.in. przez Państwowy Uniwersytet Petersburski i Rosyjską Akademię Nauk. Temat: „Humanitarne działania w regionie bałtyckim w zmieniającym się świecie". Poza rosyjskimi uczonymi i działaczami byli goście z Białorusi, Węgier, Serbii, Łotwy, Egiptu, Indii, Indonezji, nawet Włoch, Szwecji. Z Polski – niżej podpisany i Mateusz Piskorski, niestety tylko on line.

Konferencja ta wydaje mi się ważna z kilku przyczyn. Przede wszystkim pokazuje, że w oficjalnej narracji rosyjskiej pojawia się nurt – nazwijmy go – niekonfrontacyjny.

Są zatem w FR środowiska, które – wbrew dominującemu obecnie w przestrzeni informacyjnej przekazowi, że Rosja jest mentalnie i militarnie przygotowana, by uderzyć w państwa kolektywnego Zachodu bronią jądrową – szukają innego punktu widzenia na zmieniający się świat.

Poza tym ów dominujący przekaz (którego reprezentantem jest znany politolog Siergiej Karaganow) mówi o tym, że Rosja powinna odwrócić się od Zachodu, a przede wszystkim Europy, i skoncentrować się na budowie więzi i nowych form współpracy ze Wschodem. Ze szczególnym wskazaniem na Chiny oczywiście, ale i na współpracę z Indiami – po to, by tworzyć wspólnotę euroazjatycką. Do Europy, jak pisze Karaganow, Rosja wróci, ale za jakieś 30 lat, kiedy ten kontynent otrzeźwieje. Konferencja w petersburskim uniwersytecie koncentrowała się na szukaniu dróg porozumienia z Europą w obecnej skomplikowanej i konfrontacyjnej sytuacji.

Wspólnota akademicka powinna mówić językiem pokoju. Wszystkie kraje, i na Wschodzie, i na Zachodzie, mają zgromadzony ogromny potencjał kulturowy i historyczny, więc by mieć możliwość wspólnej rozmowy na ten temat, temat pokoju, taka platforma (Platforma Bałtycka – przyp. MW) *powinna stać się rusztowaniem konstruktywnego dialogu między przedstawicielami różnych krajów i różnych, w istocie swojej, cywilizacji* – mówił, otwierając konferencję, rektor Uniwersytetu Petersburskiego Nikołaj Kropaczow. Trudno nie dostrzec, że jego ton znacząco odbiegał od tego, który dominuje dziś w rosyjskiej przestrzeni informacyjnej.

Ta rosyjska umiejętność niepalenia wszystkich mostów i niezamykania drzwi zawsze mi imponowała. Jakkolwiek trudno było, rosyjska dyplomacja zawsze zostawiała sobie niechby nawet malutkie, ale działające kanały komunikacji. Znam jednego faceta z Chobielina, który tę umiejętność powinien stanowczo przećwiczyć. Ale żona mu nie pozwoli.

Europa

W czasie, gdy z oficjalnych rosyjskich mediów wylewają się niemal wyłącznie słowa o bojach, zwycięstwach, walkach i odmienianej przez wszystkie przypadki specjalnej operacji wojskowej, aktywność środowisk gotowych szukać sposobów pozaoficjalnego porozumienia robi wrażenie. Przynajmniej na mnie.

Żeby było jasne – to nie było wezwanie do kapitulacji czy bezwzględna krytyka rosyjskich wyborów militarnych. Nie, oni po prostu pracowali nad dalekowzrocznym kształtowaniem rosyjskiej polityki zagranicznej.

Uczestnicy konferencji nie mieli złudzeń: mosty miedzy krajami Morza Bałtyckiego a Rosją zostały spalone, umyślnie oczywiście, a możliwości dialogu z obecną klasa polityczną Europy są żadne. Uznali jednak, że Rosji nie stać na doprowadzenie do sytuacji, w której po obecnej wojnie zostanie tylko spalona ziemia. Jest oczywiste, że jeśli chodzi o oficjalne kontakty, to nikt z Rosją gadał nie będzie, z wzajemnością zresztą, bo nie ma o czym. Przede wszystkim dlatego, że obecna klasa polityczna Europy reprezentuje – i broni do upadłego – tego porządku świata, który nieuchronnie odchodzi w przeszłość.

Ale klasy polityczne przychodzą i odchodzą, zmieniają się państwa i ich ustroje, zatem warto pielęgnować najbardziej nawet wiotkie nici porozumienia. Nie jest to myśl zupełnie dysydencka: także Władimirowi Putinowi zdarzyło się pouczyć agresywnie antyeuropejskiego dziennikarza słowami: *Nie skreślajcie Europy*. To było parę lat temu, być może teraz mu się zmieniło, ale wolę wierzyć, że coś z tego myślenia w rosyjskich elitach zostało – czego dowodem jest petersburska konferencja.

Owszem, Zachód chce za wszelką cenę oderwać Rosję od siebie na wieki wieków, fałszując historię, karmiąc swoje społeczeństwa nienawistną propagandą, tępą jak siekierka do cukru, i marząc o sytuacji, kiedy Rosji nie będzie w opisie świata, skoro, jak na razie, jej fizyczna likwidacja się nie udaje. To oczywisty idiotyzm i działanie przeciwskuteczne przede wszystkim dla samego Zachodu, z czego zachodni politycy nie zdają sobie sprawy. Nie mój to problem, na szczęście.

Fakt pozostaje faktem, że konferencja się udała, a ten nurt zapewne jeszcze o sobie w Rosji przypomni.

Moskwa

Mam szczęście do odwiedzania Moskwy w czasach kryzysów. Ostatni raz byłem tutaj we wrześniu i październiku 2022 r. podczas pierwszej mobilizacji. Wtedy po raz pierwszy od dłuższego czasu państwo rosyjskie pokazało swoje słabości. Mobilizacja obfitowała w kompromitujące pomyłki, na jaw wychodziły rezultaty gigantycznej korupcji w siłach zbrojnych, nieprzygotowanie kadrowe, tępota i zupactwo części kadry oficerskiej. Pamiętam moje rozmowy z ochotnikami i mobilizowanymi, z żołnierzami, którzy już zdążyli być na pierwszej linii. Padało wiele gorzkich słów pod adresem rosyjskiego państwa. Ludzie byli wściekli, ponieważ ta mobilizacja pokazała, że Rosja jest państwem niewydolnym, przynajmniej w tym obszarze. Nie jest gotowa do konfliktów, nie jest gotowa do sprawnego działania, jest skorumpowana do cna. Po prostu słaba.

Dziś po tamtej kompromitacji nie ma śladu, armia rosyjska na froncie jest już zupełnie inną strukturą niż ta z jesieni 2022 r. Rosyjskie wojsko ma imponującą umiejętność uczenia się podczas trwania konfliktu – ale zapłaciło krwawą cenę za tę lekcję. Powszechna jest świadomość, że Rosji więcej na takie wydatki nie stać.

Nastroje nie są najlepsze. Po pierwsze, z powodu utraty Syrii. Mimo wysiłków oficjalnej propagandy i jej funkcjonariuszy znakomita większość moich rozmówców nie ma wątpliwości: to porażka Rosji. Jak bolesna, pokażą najbliższe miesiące. Ale poczucie przegranej jest dojmujące.

Po drugie: korupcja, jej skala i bezkarność sprawców. Czystki w ministerstwie obrony po odejściu Siergieja Szojgu porażają. Podejrzanych o gigantyczne łapówki jest 35 wiceministrów i wysokich urzędników ministerstwa, części postawiono już zarzuty.

W sumie w 2024 r. aresztowano 350 wysokich urzędników szczebla centralnego i samorządowego. Jednak Rosjanie – wśród nich oficerowie i żołnierze – zadają sobie fundamentalne pytanie: dobrze, posadzono niemal wszystkich wiceministrów obrony, będą siedzieć. Ale co z tym, który tych ludzi na te stanowiska powoływał i pozwalał, aby korupcja kwitła, czyli z Sergiejem Szojgu? Wszak on za to powinien ponieść odpowiedzialności. Tymczasem Szojgu ma się znakomicie, nikt go nie niepokoi, a jego kariera wydaje się niezagrożona. To nie podoba się ludziom.

Po trzecie wreszcie: widoczna słabość Rosji, której twarzą jest Władimir Putin, i niemożność zmian w strukturach rosyjskiego państwa. Nie chodzi wcale o to, że tempo ofensywy mogłoby być większe, sukcesy bardziej znaczące, a rezultaty widoczne. Nie, chodzi o to, że

w Rosji, po rozpoczęciu wojny na Ukrainie, istniało oczekiwanie, że ciężary tego konfliktu zostaną rozłożone równo na całe społeczeństwo bez wyjątku: na zwykłych obywateli i na znienawidzonych oligarchów demonstracyjnie obnoszących się ze swym bogactwem,

kursujących bez przeszkód miedzy Rosją a Zachodem. I tak, część tych najbardziej, jednoznacznie prozachodnich – w istocie antyrosyjskich – wyjechała lub do wyjazdu została zmuszona. Cześć środowisk liberalnych i antyputinowskich uciekła za granicę po ogłoszeniu pierwszej fali mobilizacji. Ci już nie wrócą – a gdyby wrócić chcieli, prawdopodobnie ich nie wpuszczą.

Ale duża część została i mniej lub bardziej otwarcie sabotuje poczynania władz na różnych szczeblach. Odbierane jest to jednoznacznie: że prezydent nie jest w stanie sobie z nimi poradzić.

Putin

Stąd pewnie moje wrażenie, wsparte rozmowami z wieloma ludźmi: że Władimir Putin w ciągu ostatnich dwóch lat stracił w oczach zwykłych obywateli wiele ze swego wizerunku silnego człowieka. To może być chwilowe, ale może też być śmiertelnym zagrożeniem.

W żaden sposób nie chcę przez to powiedzieć, że na horyzoncie majaczy upadek Putina. Proszę sobie nie robić nadziei. Władimir Władimirowicz może wiele stracił ze swojego wizerunku, ale jego notowania wciąż oscylują koło 80 proc. Zatem majaczenia, że Putin padnie, a na jego miejsce przyjdzie drugi Jelcyn, proponuję odłożyć na półkę. Najlepiej do lodówki, by się nie zepsuły od długiego oczekiwania. Na miejsce obecnego rosyjskiego prezydenta przyjdzie ktoś o wiele bardziej radykalny, nie tak dalekowzroczny i nie tak racjonalny w swoich decyzjach – bo wciąż uważam, że Putin, ze wszystkimi swoimi wadami, jest facetem, który racjonalnie podejmuje decyzje.

Dwa lata temu na portalu Strajk.eu pisałem, że Rosja będzie musiała się zmienić, choćby dlatego, że z frontu wrócą żołnierze i oficerowie, i zaczną zadawać swojemu państwu trudne pytania.

Za co ginęliśmy? Za dzikie nierówności społeczne, za chamski stosunek bogatych do zwykłych ludzi, za obnoszenie się z niemoralnym bogactwem? Co dostaniemy w zamian? Historia zna przypadki, gdy od takich pytań, na które pytający nie otrzymali odpowiedzi, padały imperia.

Od tamtego czasu zmieniło się tylko to, że władze zrozumiały problem. Wdraża się szeroko zakrojone programy mające na celu zapewnić powracającym z frontu pracę z godziwymi zarobkami, nisko oprocentowane kredyty, programy leczenia, wsparcia dla rodzin itp. Na papierze wygląda to znakomicie – czy w realu zadziała, nie mam pojęcia. Jeżeli nie, to będzie tak jak na początku tego akapitu.

Na razie ci, którzy wracają, widzą, że nie zawsze znajdzie się dla nich miejsce – wiele zostało zajętych przez imigrantów z dawnych azjatyckich republik radzieckich. Jest ich mnóstwo, wykonują ciężkie prace, fatalnie opłacani i eksploatowani do granic możliwości.

Te żałosne grosze, które dostają od rosyjskich kapitalistów, to w ich krajach całkiem godziwe zarobki, więc tak bardzo się nie skarżą. Ale jednocześnie nie integrują się ani trochę. Przyjeżdżają do Rosji naładowani niechęcią do Rosji, w podręcznikach w ich szkołach pokazywanej jako kolonizator i nieledwie państwo ludobójcze, nie znają języka, kulturowo i religijnie wobec Rosjan są obcy. Tak też się czują i tak są postrzegani. Żyją w gettach, co generuje już nie niechęć, ale po prostu nienawiść do kraju, który nieludzko ich wyzyskuje przy bierności części aparatu państwowego.

To dla rosyjskiej oligarchii sytuacja idealna: ma tanią siłę roboczą w postaci zdesperowanych cudzoziemców, co pozwala trzymać płace dla Rosjan na niskim poziomie. Jednocześnie słychać, że w kraju brakuje półtora miliona rąk do pracy, za kilka lat będzie brakować dwóch milionów. Nikt nie robi nic, by to systemowo zmienić. Ten stan różne siły wykorzystują do werbowania chętnych do terrorystycznych akcji w całej Rosji. Ostatni przykład to skuteczny zamach na generała Igora Kiryłowa. Zamachowcem okazał się ledwie mówiący po rosyjsku Uzbek, któremu obiecano 100 tys. dol. i paszport Unii Europejskiej.

W odpowiedzi pojawia się rosyjski nacjonalizm. Ma różne oblicza. Niektóre złowrogie. To stanie się prędzej czy później problemem Rosji.

Wojna

Byłem tylko w dwóch największych rosyjskich miastach, które są w rosyjskiej rzeczywistości oddzielnymi światami – stąd moje obserwacje nie muszą odzwierciedlać stanu faktycznego. Ale w tych miastach wojny nie widać i prawie nie czuć. Oczywiście jeśli nie ogląda się telewizji.

Jednak poza Moskwą i Petersburgiem – jak podało mi kilka niezależnych od siebie źródeł – codziennie do punktów werbunkowych zgłasza się 1000–1400 ludzi, by pójść na front. Oczywiście przede wszystkim dla pieniędzy. Rosja nie skąpi na to rubli.

Ale poza tym jest jeszcze jeden element, którego dwa lata temu nie było widać tak wyraźnie. Duża część Rosjan zdaje sobie sprawę, że ta wojna ma dla ich ojczyzny charakter egzystencjalny. Porażka Rosji według zachodniego scenariusza oznacza koniec tego kraju w kształcie, jaki znamy. I to wcale nie jest pocieszająca wiadomość dla świata.

Po ukraińskiej stronie świadomość jest podobna. Oznacza to, że wojna ta jest, jak każda wojna domowa, niesłychanie okrutna. Z obu stron.

Wojna jest wygodna dla niektórych kręgów. Dlatego na moje pytanie, kiedy się skończy, znajomy oficer odpowiada, że historia Europy zna wojny 30-letnie, więc żebym się przyzwyczajał, razem z innymi Europejczykami. Może to jest jakaś propozycja.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

eprasa.pl 176d1681c2

Spoceni od wiedzy

Dla zdrowia dzieci zrezygnujemy z edukacji zdrowotnej

Rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak przedstawiła swoją opinię w sprawie projektu rozporządzeń dotyczących wprowadzenia dwóch nowych przedmiotów szkolnych. W tym – będącej gnatem niezgody między episkopatem a MEN – edukacji zdrowotnej. Odpowiedź RPD skłania do refleksji, że ekipa Tuska klęknie przed piuską, żeby nie przewalić wyborów.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Mija rok od momentu, kiedy zrodziła się idea edukacji zdrowotnej, mającej stworzyć pole do uczenia dzieciaczków o profilaktyce zdrowia psychicznego, seksualności, unikaniu ryzykownych zachowań i wszystkiego tego, co powinno ukształtować smarkaczy na zdrowych, świadomych obywateli, którzy nie będą w przyszłości przesadnie obciążać NFZ. Kiedy słowo ciałem się stało, wymięte i przepocone po przerżniętych przez prawicę wyborach sutanny znalazły nowe paliwo do walki o rząd dusz. Nihil novi w śmierdzącym zaściankiem kraju, gdzie każda próba ucywilizowania hamuje na przedmurzu chrześcijaństwa.

Minister Nowacka zdawała się być zdeterminowana, żeby dowieźć chociaż jeden projekt do mety, bo na równoległym froncie sromotnie przegrywała walkę o wyabortowanie ze szkół religii. Nowy przedmiot klepnięto, a jego premierę zapowiedziano na wrzesień 2025 r. Na dalsze rżżenie prawicowo-kościelnego kondominium mało kto zwracał uwagę, bo głoszone przez nie hasła o szkolnej nauce masturbacji i spedaleniu dzieci mogą się przejeść nawet największym koneserom absurdu. Tymczasem okazuje się, że być może niesłusznie.

Pod koniec grudnia minionego roku Monika Horna-Cieślak w stanowisku przesłanym do Ministerstwa Edukacji Narodowej poparła wprowadzenie edukacji zdrowotnej i pozytywnie zaopiniowała edukacyjną świeżynkę. RPD co prawda przyznała, że w ostatnim czasie do jej biura spłynął szeroki strumień sprzeciwu obywateli wobec podejmowania w szkołach tematyki zdrowia seksualnego ujętej w podstawie programowej nowego przedmiotu, ale też dała fali ignorancji opór: *Czym innym jest bowiem proces seksualizacji, a czym innym przekazywanie wiedzy na temat zdrowia seksualnego człowieka* – podkreśliła.

Według RPD nie można traktować zdrowia seksualnego jako obszaru należącego do kwestii wyłącznie światopoglądowych, za który całkowitą odpowiedzialność ponoszą rodzice lub opiekunowie dzieci, *przeciwnie, zdrowie seksualne pozostaje w bezpośrednim związku ze zdrowiem człowieka, zatem w istotny sposób ma również związek z ogólnym dobrostanem zdrowotnym obywateli* – cierpliwie wyjaśniła opornym na postęp piewcom haseł o *antyrodzinnych treściach*. I kiedy mogłoby się zdawać, że kaganek nowoczesnej oświaty bezpiecznie dotrze pod szkolne strzechy, ambasadorka dobrej woli drastycznie zmieniła kurs.

Monika Horna-Cieślak poruszona licznymi sygnałami uczniowskiego cielca o przemęczeniu nauką w szkole i domu (*sic!*) wynikającą z *obowiązujących ramowych planów nauczania*, uznała, że wprowadzenie edukacji zdrowotnej nie pozostanie bez wpływu na obciążenie uczniów, a dalej *także na ich kondycję psychiczną i dobrostan, przyczyni się bowiem do zwiększenia czasu przeznaczonego przez uczniów na wywiązywanie się z nałożonych na nich obowiązków szkolnych (…), może powodować zwiększenie stresu u uczniów i przemęczenie.* W ocenie rzeczniczki praw dziecka *sytuacja ta zniweluje korzystne efekty wprowadzenia edukacji zdrowotnej, w szczególności sprawi, że uczniowie nie będą chętnie uczestniczyli w zajęciach z tego przedmiotu.* Na dokładkę w mało wysublimowany sposób dołożyła Nowackiej, której stosunki z nauczycielami są kruche jak zęby heroinisty, stwierdzeniem, że jeśli edukacja zdrowotna ma być nauczana już od września 2025 r., mało realne wydaje się, aby wszyscy chętni nauczyciele mogli w sposób dostateczny przygotować się do prowadzenia nowego przedmiotu. Rekomendacja? Przesunięcie startu nowego przedmiotu na kolejny rok.

Póki co tylko Barbara Nowacka raczy wiedzieć, co postanowi Ministerstwo Edukacji Narodowej. Srał pies, że Horna-Cieślak swoją opinią wylała wodę na młyn skrojonych przez episkopat bojówek rzucających gównem w reformę oświaty. Argumentacja RPD jest tak absurdalna, że bolą zęby. Warto przypomnieć, że to Monika Horna-Cieślak forsowała ideę, żeby pedagodzy mogli świadczyć pomoc psychologiczną w szkołach, choć – jak celnie zripostowała pomysł specjalistka psychologii klinicznej Marta Boczkowska – badania od czasów zamachów na WTC (Watson, Bonanno) mówią: *lepsza żadna pomoc psychologiczna niż niecelowana.* A zatem troska rzeczniczki o nierzetelne przygotowanie nauczycieli do wykładania nowego przedmiotu wydaje się niepoważna.

Trudno pozbyć się wrażenia, że sugestia RPD została skrojona na potrzebę wyborów prezydenckich dla przeczekania obyczajowej burzy.

Jeśli MEN wycofa się o krok z zapowiadanej inicjatywy, może się okazać, że kolejny raz Tuskowi fikcje zysku zastąpiły fikcje idei. Elektorat Donka nie jest tak twardy, jak mu się wydaje. W myśl zasady, że albo jest się częścią rozwiązania, albo problemu – szala od dawna przechyla się na jego niekorzyść. Tylko dzieci szkoda.

IDALIA DUBICKA

Biało-czerwona menażeria

Gdyby kandydaci na prezydenta byli zwierzętami...

Różnie można patrzeć na przyszłoroczne prezydenckie wybory. Jak na konkurs (głównie męskiej) piękności. Jak – idąc śladem pamiętnej piosenki Kazika sprzed lat („Cyrk") – na występy cyrkowych zapaśników. Ale ja, patrząc raz po raz na facjaty kandydatów i kandydatki, mam nieodparte skojarzenia zwierzęce. To stary trop – już w starożytnej Grecji świat człowieka krył się w komediach pod animalistycznymi maskami, o czym świadczą takie utwory Arystofanesa jak „Żaby" i „Ptaki" – ale wciąż płodny.

Oto zatem zwierzyniec prezydencki ułożony w kolejności poparcia osiągniętego w jednym z ostatnich sondaży, przeprowadzonym tuż przed świętami na zlecenie Radia Zet.

Lew

Rafał Trzaskowski to typowy lew salonowy – nie mylić z Lwem Trockim, Lwem Tołstojem ani Ryszardem Lwie Serce. Gatunek z rodziny paniczykowatych.

Ilustracje KRZYSZTOF OLEJNIK

Rafał bardzo chciałby być królem lwem, ale w 2020 r. jakoś mu nie wyszło. Wszyscy pamiętają, jak podkulił ogon pod siebie i nie wystąpił w ustawionej pod Andrzeja Dudę debacie w TVP w Końskich. Zraził tym do siebie wiele osób, bo – w odróżnieniu od urzędującego prezydenta – nie starał się wydrapać zębiskami i pazurami zwycięstwa.

Fakt, iż ten lew salonowy posługuje się swobodnie pięcioma językami – angielskim, francuskim, hiszpańskim i (tfu!) rosyjskim – może nie mieć znaczenia, gdy nie znajdzie wspólnego języka z milionami wyborców. Jako lew salonowy pobierał nauki na trzech kontynentach (w Australii, USA, Anglii i Francji), ale potrafi zniżyć się do poziomu plebsu, pojechać wczesnym rankiem na giełdę owocowo-warzywną czy pojawić się w piekarni z gospodarską wizytą (choć po prawdzie Gierek miał większy rozmach).

Lew Trzaskowski wie, że jeśli nie wygra zmagań o prezydenturę, po wsze czasy będzie miał opinię – jak by powiedział Zbigniew Ziobro – miękiszona i nieudacznika, który nie wyskoczył ze stołecznej trampoliny na prezydenckie wyżyny.

Niedźwiedź

Karol Nawrocki należy do niedźwiedziowatych. Nie jest jednak Puchatkiem, bo to miś o małym rozumku; ani Uszatkiem, bo to komuch. Jeśli przyjrzeć się kolegom obywatelskiego kandydata PiS – to przynależy on do gatunku brunatnych.

Zawodnik wagi ciężkiej. Taki, co to może dać w mordę, aż człowiek zobaczy gwiazdki. Jego rekord to wzięcie na klatę sztangi ważącej ponad 150 kg. Jak trzeba, chwyci pralkę na ramię i zaniesie poszkodowanym przez żywioł powodzianom. Niby doktor nauk humanistycznych, ale prawdziwy chłopak z siłowni. Zdecydowanie naturalniej wygląda w dresie, machając hantlami, aniżeli pod krawatem, bredząc podniosłe bzdury.

Źli ludzie wciąż niedźwiedziowi wypominają jakichś ziomali – a to bandytów, a to rodzimych hitlerków (przy czym niekiedy te dwie grupy tworzą te same osoby). Ale każdy wie, że niedźwiedź to dziki zwierz, buszujący po ciemnych borach i lasach. Zdaje sobie sprawę, że w drodze do miodu można niekiedy narazić się na pszczele użądlenia. Ale trzeba być twardym, a nie miękkim.

Niedźwiedź Karol to w sumie jeszcze nieopatrzony zwierzak, który ma pewien potencjał. Będzie miał pecha, jeśli z jego elektoratem będzie jak z Prosiaczkiem: im bardziej Puchatek zaglądał do środka, tym bardziej go tam nie było.

Struś

Szymon Hołownia to struś – nie mylić z Pędziwiatrem robiącym w konia Wilusia E. Kojota – czyli, biorąc pod uwagę przygodę z Collegium Humanum, gatunek z rodziny nielotów.

Nikt tak pięknie jak przyblakła ostatnio gwiazdka Sejmfliksa nie potrafi chować głowy w piasek, gdy trzeba (choćby w przypadku aborcji), wypowiedzieć się w jakiejś dzielącej ludzi kwestii. Hołownia mógłby powiedzieć, że jest nie tyle jak struś przysłowiowy, lecz bardziej jak prawdziwy – bardzo wysoki ptak, który nieraz kładzie głowę na piasku, aby być mniej widoczny. Jak tylko pojawia się polityczne niebezpieczeństwo, marszałek sejmu stara się zniknąć ludziom z oczu.

Struś to najszybszy ptak, może rozpędzić się nawet do 80 km/h. Szymon też szybko biegnie z jednej telewizji do drugiej. Rzecz jednak w tym, że często biega bez celu. A sądząc po jego niektórych wypowiedziach – np. że służby specjalne uśmiechniętej Polski chcą utrącić jego kandydaturę – choć zapieprza zdrowo, to jednak wygląda na to, że peron mu odjechał.

Nielot Hołownia udaje, że on to nomen omen trzecia droga między PiS a PO: prędzej jednak struś pofrunie niczym orzeł przedni, niż okaże się to prawdą. Rzeczywistość skrzeczy za oknem: nikogo nie zdziwi, jak Szymon nawet na podium wyścigu prezydenckiego nie wskoczy; zapewne w takim wypadku się popłacze jak kiedyś przy lekturze Konstytucji RP.

Lis

Sławomir Mentzen należy do gatunku *Vulpes vulpes*. Nie jest to jednak z pewnością lis z bajek Ezopa – ci starożytni Grecy to była zgraja pedałów – a zwierzę z rodziny cwaniakowatych.

Mentzen wykorzystuje lisi spryt w swym biznesie, który – w ostatniej instancji – sprowadza się do pomagania ludziom w niepłaceniu podatków. Osiągnął w tej sferze duże sukcesy, znacznie większe aniżeli w polityce. To prawdziwe zwierzę tiktokowe, gdzie ma bezprecedensowe wśród polskich polityków zasięgi. To przy jego filmikach, niczym przy trójkątach na PornHubie, kuce tasują się i czekają z utęsknieniem, aż ich heros zaora lewaka, kontynuując zbożne dzieło Korwina.

Lis Mentzen walczy o trzecie miejsce w wyścigu prezydenckim, im bliżej niedźwiedzia Nawrockiego, tym lepiej – z jego perspektywy – to wróży przyszłej koalicji PiS i Konfederacji. Jednocyfrowy wynik będzie dużą lisią porażką.

Myszka

Magdalena Biejat to szara gryzonica. Nie mylić z myszą kościelną ani tym bardziej Myszką Miki, bo to facet. Myszka, jedyna jak dotąd samica w wyścigu prezydenckim, to zwierzę z rodziny razemitów.

Dwójka ostatnich kandydatów lewicy w wyścigu prezydenckim, Magdalena Ogórek i Robert Biedroń, nie doczołgała się nawet do 3 proc. poparcia. Lewicowy elektorat został w domu lub głosował na kogoś innego. Poprzeczka dla skromnej myszki Biejat nie jest ustawiona zatem szczególnie wysoko, lecz skazywana jest ona na pożarcie przez męskich drapieżców. Jeśli jednak

eprasa.pl 176d1681c2

Pamiętaliście, żeby wypisać się z PPK?

Socjal dla bankstera

Co zazwyczaj robi rząd Tuska, jak ma do czynienia z dziurą budżetową? Sięga tam, gdzie – zdaniem wyznawców Balcerowicza – sięgać nie powinien. Zamachuje się na zawartość bankowych sejfów. Odbierając bankom to, co przychylne finansjerze rządy pozwoliły zedrzeć z obywateli. Taki mechanizm zadziałał w przypadku OFE. Najpierw zabroniono im okradać Polaków 10-procentową marżą, a potem po prostu zabrano z ich kont 150 mld zł i przelano je na konta państwowego ZUS.

Dziś budżet znów ma problemy. Od czego jednak są pozostałości OFE, a nawet PPK – program Morawieckiego, sprowadzający się do zasilania banków pieniędzmi podatników?

W 2024 r. OFE otrzymały z ZUS ponad 4 mld zł. Obracają więc kapitałem wynoszącym ok. 213 mld zł. Brzmi zacnie, ale tak naprawdę na jedną osobę składającą tam swoje oszczędności emerytalne przypada ledwie 15 tys. zł. Konta Pracowniczych Planów Kapitałowych to niespełna 31 mld zł. Na jednego pracowniczego kapitalistę – niecałe 14 tys. zł.

OFE Morawieckiego

Dawno, dawno temu wprowadzenie OFE było dla światowych banków warunkiem umorzenia Polsce długów z czasów komuny. Dzięki funduszom emerytalnym Polacy spłacili gierkowskie długi z wielką nawiązką. Zyski, które czerpały z OFE zagraniczne w większości banki i ubezpieczalnie, były bowiem horrendalne. Pozbycie się tego pasożyta w pierwszym dogodnym momencie było więc dla każdego polskiego rządu po 2005 r. koniecznością. O dziwo, PiS za IV RP jakoś na to nie wpadł.

Gdy Morawiecki wymyślił „OFE bis" – program Pracowniczych Planów Kapitałowych – ludziom wciskano kit, że PPK zarobią dla nich na wysoką emeryturę. Pracownik miał kopsnąć na program 2 proc. swojego zarobku; 1,5 proc. miał mu dołożyć pracodawca. Państwo ze swojej strony miało ten deal pobłogosławić dołożeniem 20 zł miesięcznie i jednorazową wpłatą powitalną w wysokości 250 zł.

Wymyślając PPK, Morawiecki myślał o zysku sektora finansowego i napędzanej przez jego rząd inflacji. Tej zaś trzeba było przeciwdziałać, transferując kasę od ludzi do skarbonek, którymi zarządzało PiS. Dlatego tym, co odróżnia OFE od PPK, są pozornie drobne różnice w rozliczaniu pieniędzy odprowadzanych na ubezpieczenia społeczne. Składki na otwarte fundusze szły z tej samej puli co na ZUS. W ostatniej fazie działania OFE wynosiły 2,3 proc. od zarobków; o tyle mniej trafiało zatem do ZUS-u. Przy PPK tak nie jest. ZUS dostaje pełną składkę emerytalną od każdego. Na PPK pracodawcy i pracownicy płacą dodatkowo. Dzięki temu – bez oficjalnego podniesienia składki emerytalnej – każdy pracujący płaci na emeryturę więcej. Pracodawcę ten ruch kosztował dodatkowe 1,5 proc. funduszu wynagrodzeń i nowy etat do zliczania i przelewania kolejnej daniny. Ponieważ hajs pracodawcy i pracownika nie jest odliczany ze składki ZUS – dla osób, które należą do programu PPK, klin podatkowy wzrasta o dodatkowe 3,5 proc.

Ustawowo nakazano też funduszom operującym PPK kupować obligacje państwowe. Rząd zatem mógł liczyć na zapożyczanie się na kolejne programy prowyborczego rozdawnictwa swoim.

To niejedyny sposób zasilania partyjnego budżetu przez Morawieckiego. Premier miał bowiem spółki należące do państwa. Musiały odprowadzać cały zysk państwu i nie miały na inwestycje. Od czego jednak giełda? Giganty państwowe emitowały kolejne akcje lub obligacje, a kupować je musiały fundusze mające pieniądze z PPK. Ustawa zadbała przecież o to, żeby papiery spółek skarbu państwa były dla zarządzających PPK priorytetem.

Z punktu widzenia Morawieckiego PPK był programem genialnym. Pracownicy i ich firmy oraz budżet płacili, a zyskiwał jego macierzysty sektor finansowy. Ludzie i ich emerytury byli w tym wszystkim najmniej istotni. Dowodem na to jest najpóźniejsze jak się dało wprowadzenie do PPK osób pracujących na państwowych posadach, za których składkę miał płacić budżet.

Deklarowana dobrowolność nie jest do końca dobrowolna. Pracodawca dostał ustawowy obowiązek zapisywania do PPK każdego zatrudnionego. Jak tego nie zrobi, to Państwowa Inspekcja Pracy karze go grzywną od 1000 do 1 000 000 zł. W ustawie przyjęto bowiem prawne domniemanie, że pracownik chce być w PPK – chyba że wyraźnie oświadczy, że nie chce.

Zasiłek bankowy

Parę tygodni temu Polski Fundusz Rozwoju, nadzorujący PPK, wystosował wezwania do 89 tys. przedsiębiorstw, które nie dopełniły obowiązku wyboru funduszu. Jeśli firmy nie podpiszą umowy z którymś z operatorów PPK, mogą narazić się na kontrolę ze strony Państwowej Inspekcji Pracy, z wysokimi karami, lub wprost zapłacić PFR-owi karę mogącą sięgnąć 1,5 proc. rocznego budżetu wynagrodzeń danej firmy.

Przed PPK pracownika chroni tylko pisemna deklaracja, że do programu nie przystępuje. Jeśli niczego nie podpisał, bo nie wiedział, to ma pozamiatane. Po miesiącu dostrzega, że jest w plecy o parę złotych i nie może z tym nic zrobić przed upływem czterech lat.

Co tyle można bowiem z PPK wystąpić. Oczywiście na piśmie. W przeciwnym wypadku ustawa nakazuje pracodawcy od nowa zapisać pracownika do programu. Tyle że już bez państwowej wpłaty powitalnej. Co gorsza, także ten, kto złożył deklarację, że PPK go nie interesuje, musi ją powtarzać co cztery lata. Jak tego nie zrobi, pracodawca nie ma wyjścia: musi zapisać pracownika do programu.

Założenia OFE i PPK były w zasadzie takie same. Pieniądze z PPK miały płynąć do należących do banków i firm ubezpieczeniowych funduszy inwestycyjnych, które uzyskały stosowne zgody KNF. Dokładnie tak samo było z OFE, które przecież należały do tych samych właścicieli z sektora wielkich finansów.

Fundusze inwestycyjne za wpływające na ich konta składki z PPK kupują obligacje, akcje i inne papiery wartościowe, na których kupno zezwala im ustawa. Te same regulacje obowiązywały oczywiście OFE.

Jest jedna różnica. Zysk OFE – czyli opłata za zarządzanie kapitałem – wynosił 1,75 proc. W PPK jest niemal trzy razy niższy; nie może przekroczyć 0,6 proc. Na tym akurat banki nieco tracą. Ale w końcu dziesiątki miliardów płynących ze składek na PPK dają o wiele większe możliwości zysku. Bankom, a nie przyszłym emerytom. Wie o tym każdy początkujący ekonomista.

Poza tym nawet z tego kawałka procenta zyski funduszy zarządzających kasą z PPK są niezłe. Zarządzaniem inwestycjami zajmuje się w każdej takiej instytucji kilkanaście osób i jeden dobry program pokazujący, kiedy i co kupować lub sprzedawać. Nie powinno zatem dziwić, że bankom na sukcesie PPK zależało.

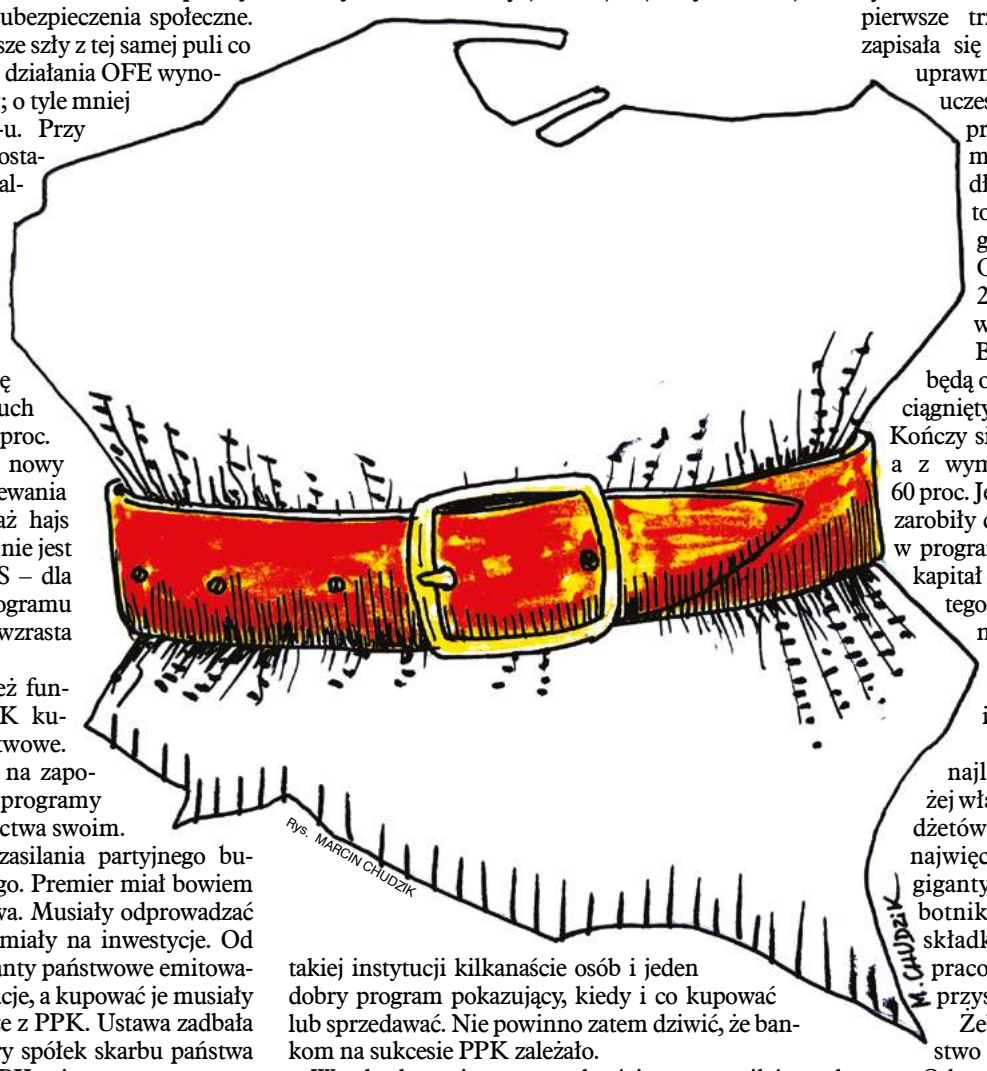

Rys. MARCIN CHUDZIK

W budowaniu oszczędności uczestników PPK udział biorą trzy strony: uczestnik, czyli pracownik, pracodawca i państwo. To ostatnie z Funduszu Pracy finansuje wpłaty powitalne 250 zł oraz dopłaty roczne 240 zł. Gdy się to wszystko wie, to dziwić musi taki drobiazg, że po dwóch latach hulania systemu wartość wpłat powitalnych i dopłat rocznych wskazywała, że 10 proc. wpłat na PPK pochodzi z budżetu państwa. Na PPK – czyli dla sektora finansowego.

Odtworzenie, po utrąceniu OFE, pasa transmitującego kasę od pracowników do banków – ze znacznym dodatkiem wkładu państwowego – to pomysł formacji politycznej od miłości do banków się odżegnującej.

Mającej jednak wówczas na czele rządu faceta, który wiedząc, że ma u byłego bankowego pracodawcy zamrożone kilka milionów złotych premii, musiał sobie na ten szmal zapracować.

Atrapa emerytalna

Wprowadzając PPK, banksterzy tacy jak Morawiecki liczyli, że do programu zapisze się prawie 80 proc. pracujących na etacie. Sektor finansowy grubo przed wejściem programu w życie zaczął nawet wliczać w swoje bilanse miliardowe zyski.

Tymczasem Polacy aż tak głupi nie byli. Przez pierwsze trzy lata funkcjonowania systemu zapisała się do niego niespełna jedna trzecia uprawnionych. Dziś, po zobligowaniu do uczestniczenia w programie wszystkich przedsiębiorstw i instytucji, członkami PPK jest niecałe 3,8 mln osób. Według PPK-owskich propagandystów to 49 proc. uprawnionych. Ciekawe, gdy zestawi się ten odsetek z danymi GUS mówiącymi, że w III kwartale 2024 r. liczba pracujących wynosiła w naszym kraju 17,2 mln osób.

Banki liczyły, że po czterech latach będą operowały co najmniej 50 mld zł wyciągniętymi od ludzi i państwa. A tu kiszka. Kończy się szósty rok funkcjonowania PPK, a z wymarzonej kwoty jest nieco ponad 60 proc. Jeszcze zabawniej wygląda to, co PPK zarobiły dla ludzi. Obliczono, że jak ktoś był w programie od początku, to przez sześć lat kapitał zarobił ok. 110 proc. Gdyby odjąć od tego 50 proc. inflacji i porównać z lokatami w bankach lub oprocentowaniem obligacji, to profity z oszczędzania w PPK, mimo zrzutki państwa i pracodawcy, oszałamiające nie są.

O tym, że PPK brzydko pachną, najlepiej wiedzieli ci, którzy są najbliżej władzy, czyli osoby zatrudnione w budżetówce i samorządach. O ile bowiem najwięcej chętnych do PPK pozyskały giganty państwowe i prywatne wśród robotników, to szanujący się urzędnik miał składki Morawieckiego gdzieś. Spośród pracowników budżetówki do programu przystąpił mniej niż co piąty.

Żeby było jeszcze zabawniej, mnóstwo Polaków traktuje PPK jak bankomat. Od czasu do czasu bowiem trzymana tam kasa odnotowuje niezłe, choć krótkotrwałe wzrosty. A wtedy co cwańsi rodacy podejmują decyzje o wypłacie zaoszczędzonych pieniędzy. W pierwszym półroczu tego roku Polacy wypłacili z programu prawie miliard złotych. Reszta wolno dochodzi do świadomości, że kasę trzeba z PPK wyjąć, bo jak będzie budżetowa trwoga, to PPK skończą jak OFE – w budżecie ZUS.

To jednak dopiero za chwilę. Najpierw rząd Tuska musi skończyć to, co zaczął przed laty, czyli przelać na konta państwa setki miliardów z OFE. Plan jest gotowy. Za nim są ci z KO i Lewicy, PSL jak zwykle nie wie, o co chodzi, natomiast Petru i reszta partii Hołowni jest przeciw.

Ekonomiści są jednak pewni, że po wyborach prezydenckich, gdy Bruksela zażąda cięć, nikt nie wystąpi w obronie gigantycznych zysków, które OFE generują sektorowi bankowemu.

Ale gdy do tego dojdzie, nie nastąpi żaden budżetowy atak na kasę z PPK. Z tego prostego powodu, że wszyscy zdążą już stamtąd wyciągnąć swoje pieniądze. A puste PPK rządowi do niczego potrzebne nie będzie. Żeby jednak do interesu nie dopłacać bankom, Ministerstwo Finansów zaproponuje, żeby z powodu braku zainteresowania Pracownicze Programy Kapitałowe zlikwidować.

TADEUSZ JASIŃSKI

borsuk Adrian Zandberg wystartuje w wyborach, Biejat może mieć totalnie przejebane.

Biejat zarzucają, że pochodzi z Warszawy, ale – o ile wiem – w stolicy nie mieszkają wyłącznie (ani nawet głównie) milionerzy w ciuchach od Gucciego i w elektrycznych bmw. Większym problemem może okazać się, że odeszła z partii Razem, co niektórzy uznali za zdradę lewicowych ideałów. Mimo wszystko miejmy nadzieję, że z szarej myszki przedzierzgnie się Biejat w zwierzę o większym ciężarze gatunkowym; w końcu w królestwie ślepców jednooka jest mędrczynią.

Sikiratka

Marek Jakubiak to sikiratka – nie mylić z siekieradką, która jest przyprawą kuchenną. Sikiratkę – zwierzę z rodziny robakowatych. Powołał je do życia Robert Górski z Kabaretu Moralnego Niepokoju, wymyślając owada, który żyje w krowich odchodach. Jak mówił Mikołaj Cieślak w skeczu o sikiratce: *Człowieku, ty*

nie mów mi o tym więcej, bo ja nie wiem, co to jest, nie znam się. W życiu tego cholerstwa nie widziałem – rozumiesz? Nigdy… nigdy. Na co Górski odpowiedział: *Wystarczy trochę pogrzebać*. Ja też, patrząc na występy sejmowe przydupasa PiS, biznesmena i narodowca, wolałbym nigdy tego cholerstwa nie widzieć.

Wypada tylko mieć nadzieję, że przyszły strażnik – bo raczej nie strażniczka – żyrandola w Pałacu Prezydenckim, piastując ten urząd, nie zasłuży wśród obywateli na miano barana, osła, a tym bardziej świni…

KAT

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Wiadomo: prezydent Duda nie przybył na koncert inaugurujący polską prezydencję w Radzie Unii Europejskiej. Nieprzybycie można było dyplomatycznie wytłumaczyć niedyspozycją głowy państwa albo w ogóle nie tłumaczyć, bo w końcu prezydent nie musi chodzić wszędzie tam, gdzie go się zaprasza.

Małgorzata Paprocka, szefowa Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej, wybrała najgorsze wyjście: nieobecność Dudy na gali wytłumaczyła głupio. *Po wysłaniu zaproszenia nie było żadnego kontaktu z Kancelarią Prezesa Rady Ministrów czy Ministerstwem Spraw Zagranicznych w tej sprawie. Można z tego wnioskować, że dla organizatorów nie było to istotne wydarzenie* – stwierdziła.

Znany dowcip: Lech Wałęsa udowodnił, że prezydentem Polski może być każdy. Duda – że jednak nie każdy. Podobnie nie każdy może być szefową kancelarii prezydenta.

eprasa.pl 176d1681c2

Bajki dla myślących

Pakt z diabłem

Demo-kreacja

No co ja na to poradzę, że nie mogę się otrząsnąć ze zdziwienia, gdy słyszę – wydawałoby się – wykształconych ludzi, którzy bez chwili głębszej refleksji radośnie i z dumą oznajmiają, że żyjemy w demokracji. Mówią o niej jak o stanie bardziej czy mniej doskonałym, ale skończonym. Niektórzy dodają, że ta amerykańska jest wzorem, a wtedy to już się we mnie gotuje i szczerze powątpiewam w ich umysłową sprawność. Pewnie masz tak jak ja.

Spójrzmy na wybory. Obojętne które – każde. Wybory to farsa. Więcej w nich plebiscytu piękności politycznych liderów i ładnie brzmiących haseł niż rywalizacji na programy i argumenty. Więcej prób przypodobania się estetycznym gustom wyborców i odwołań do ich aktualnych emocji – często wynikających z ich fałszywej świadomości – niż faktycznego zrozumienia sytuacji. Więcej odwoływania się do ich przekonań religijnych i światopoglądowych niż prób rozwiązania rzeczywistych problemów życiowych. Więcej tanich chwytów marketingowych i manipulacji emocjami niż odwołań do wiedzy i zrozumienia sytuacji. W efekcie decyzja o wyborze osoby czy partii niewiele ma wspólnego z realną oceną rzeczywistości, rozumem czy rozsądkiem.

Używając rozumu, moglibyśmy przyznać publicznie rację adwersarzowi w takiej czy innej sprawie. Ale nie wtedy, gdy rządzą nami głównie emocje. Wtedy działa podział na „naszych i tamtych", „dobrych i złych" – podział na zwalczające się plemiona, w których solidarność ze współplemieńcami jest ważniejsza od jakichkolwiek racji. Pa, pa, rozumku!

Większość ludzi czuje się zmuszonymi do udziału w wyborach nie po to, by wybrać najlepszą opcję, ale głównie po to, by zablokować jeszcze większe zło – pokonać „wrogów". No, a jeśli w naszych wyborach kierowaliśmy się głównie emocjami lub brakiem dobrej alternatywy, to wybraliśmy przede wszystkim wizerunek, „twarz" lidera. A potem co?! Tyrania władzy: „teraz my", przecież trzeba „tamtych" do piachu.

Przyjrzyjmy się zatem bliżej temu, jak to działa. Tak wybrana władza to władza liderów. Bardziej to podobne do dyktatury niż naszego wyobrażenia demokracji. Pozycja lidera partii politycznej, która zdobyła władzę, jest bardzo silna. Lider, w naszych warunkach często będący premierem, ma ogromną władzę nad szeregowym posłem, ministrem, a pośrednio – wieloma potężnymi przedsiębiorstwami, w których rozdaje frukta swoim zwolennikom. Jeśli któryś nie chce wypaść z obiegu, to mu nie podskoczy. Kasa na kampanię i miejsce na liście wyborczej, nie mówiąc o mniej delikatnych środkach perswazji, to domena szefa. W tej sytuacji chór parlamentarzystów śpiewa w mediach i na sejmowej sali pieśń w rytm batuty swego dyrygenta, bardzo dbając, by nie zgubić rytmu. Zapomnij o merytorycznej sejmowej debacie, która waży racje!

W języku polskim „polityka" to jedno słowo, które określa dwie zupełnie różne rzeczy: po pierwsze sztukę zdobycia i utrzymania władzy; po drugie sztukę prowadzenia spraw publicznych (kształtowanie stosunków społecznych). Niestety to drugie znaczenie nie znajduje zastosowania w naszej demokracji. Politycy myślą niemal wyłącznie o swoich fotelach.

Jakaś sprawa czy idea, która musi trwać dłużej niż kadencja...? Nigdy! Z tego też powodu od ponad 30 lat tylko teoretycznie budujemy elektrownię atomową, racjonalizujemy system podatkowy, reformujemy służbę zdrowia itd. Jak polityk ma zrobić coś, co ma trwać trochę dłużej, to go dopada krótkoterminowy rozumek: „po kiego wała robić dobrze następnej ekipie?".

Spójrzmy także na mainstreamowe media – konieczny aspekt demokracji. To prawda, że są władzą albo częściej ramieniem władzy – tej bieżącej i tej aspirującej. Ich niezależność łatwo dostrzec, obserwując, o czym mówią, jaki mają kierunek politycznie motywowanej napaści – to dość łatwe. Ale trudniejsze i znacznie ważniejsze jest dostrzeżenie tego, czego te media nie mówią. Nigdy, przenigdy nie podważają systemu, który je karmi! W naszych warunkach nigdy z tych mediów nie dowiesz się, że żyjemy w państwie wyznaniowym, w którym zabobon i przesąd są instrumentem polityki. Że nasza demokracja jest ułomna i pozorna.

Nie usłyszysz, że istnieją bardzo interesujące alternatywy dla systemu monetarnego świata. Że kryzys klimatyczny jest prostą i nieuniknioną konsekwencją działania neoliberalnego kapitalizmu, a masowe migracje, terroryzm, obecne i przyszłe wojny są i będą jego skutkiem.

Ale nie chcę Cię zostawiać w kiepskim nastroju. Nie musi być tak źle.

Wyobraź sobie bowiem, że w pewnym kraju na zadupiu świata miały odbyć się wybory parlamentarne. Prezes małej partii, nieźle już bimbrem nawalony, wezwał na pomoc siły nieczyste. Pojawiła się śmierdząca siarką postać.

– Jestem Lucyfer, czyli Niosący Światło – oznajmił. – Mów, po co mnie wezwałeś.

Prezes padł na kolana i błagał zjawę o swoje i partyjne parlamentarne zwycięstwo. Nie zapomniał dodać, że chodzi mu o konstytucyjny wymiar sukcesu.

– Dobra, pacanie! – usłyszał potężny tubalny głos. – Możesz mieć to jak w banku, ale musisz własną krwią podpisać ze mną kontrakt. I wiedz, że od tej pory zawsze będziesz musiał działać dokładnie tak, jak ci każę, a zaszczytów i kasy ci nigdy nie zabraknie.

Marzący o władzy prezes oczywiście bez wahania podpisał. On i jego partia – jakże by inaczej – wygrali wybory w cuglach. Prezes zajął gabinet premiera. Noo... nie całkiem był w nim sam – Lucyfer czujnie i dyskretnie mu towarzyszył.

Już pierwszego dnia po objęciu urzędu nowy premier dowiedział się, co ma robić.

– Wprowadzisz pacanie demokrację! – usłyszał od Lucka (tak pieszczotliwie, z wdzięczności za wygraną, zaczął go w myślach nazywać). – Państwo ma działać dla dobra wszystkich ludzi. To znaczy, że działasz zgodnie z interesem większości, która cię wybrała, ale także i to, że uwzględniasz niesprzeczne interesy wszystkich mniejszości. A ponieważ większość to dobrzy, pracujący ludzie, to stanowione w ten sposób prawa będą sprawiedliwe. Ty je ustanowisz. Aby działały skutecznie, stworzysz odpowiednie instytucje.

– Ale jak to zrobić? – zapytał premier.

– Spokojnie, po kolei. Ty tylko rób, co mówię. To ja będę myślał.

Ciekawi jesteście, co zdziałali? Aaa, to będzie dalszy ciąg tej bajki.

ANNA GRODZKA

SŁOWO CZERWONE

Walka klas 2025

Czas wyjść z klatki

Kocham wolność. Dla mnie zaczyna się ona po fajrancie, kiedy to ja – a nie ktoś inny – decyduje, gdzie jestem i co robię. W kodeksie pracy powinno być wpisane prawo do niepodawania szefowi numeru telefonu pracownika.

Kapitalista ma wiele sposobów, aby zmusić mnie, bym pracował dłużej. Może mi płacić tak mało, że sam się będę prosił o nadgodziny. Może też kazać mi zostać po fajrancie, grożąc, że jeśli nie zostanę, to mnie zwolni. Może też zagrozić odebraniem premii, bez której mój budżet domowy się nie spina.

Zniewolenie polega tu nie tylko na tym, że dłużej muszę wykonywać polecenia, robić to, co muszę, a nie to, co chcę – ale i na tym nieznośnym poczuciu podległości. Na tym, że czuję się, jakbym był czyjąś własnością. I choć – inaczej niż w czasach niewolnictwa – przymus ma charakter ekonomiczny, a nie fizyczny, to efekt jest ten sam: robimy to, co nam każą.

Szef, przedsiębiorca, ma pewien plan. Zwykle polega on na jak najszybszym wzbogaceniu się. I nie rozumie, dlaczego pracownicy nie są zainteresowani jego realizacją. Wręcz ma pretensje, że zamiast się angażować całymi sobą w wykonanie jego planu, wolą odwalić robotę i jak najszybciej wyjść. Tymczasem wyjaśnienie jest proste: plan przedsiębiorcy dotyczy wzbogacenia tylko jego, a nie pracowników. Oni z trudem utrzymują rodziny za to, co on mi płaci.

Pracownicy nie mają udziału w zyskach, które wypracowują. Ich płace to jedynie koszt konieczny, by te zyski osiągnąć. Wydaje się dziwne, że firma, która osiąga wielkie zyski, a nawet jest na giełdzie, tak słabo płaci. Zasada biznesowa polega jednak na tym, aby dla zwiększenia zysków minimalizować koszty – w tym płace. Chodzi więc nie o to, by płacić za pracę godziwie, tylko żeby płacić jak najmniej. Bo obowiązkiem firmy jest zapewniać akcjonariuszom jak największe dywidendy; jak największe zyski właścicielom.

Kłamie więc szef, który przekonuje załogę, że on i oni jadą na jednym wózku. On bowiem walczy o bogactwo, a oni tylko o przetrwanie.

Przy czym sukces firmy poprawia jego los – bo oni udziału w sukcesie biznesowym nie mają. Przekonali się o tym górnicy z KWK Bogdanka, którzy entuzjastycznie poparli wejście fabryki na giełdę, a potem się zdziwili, że nie wypłacono im czternastki, barbórki i innych premii, bo pieniądze poszły na dywidendy dla akcjonariuszy.

Między tymi, którzy żyją z pracy własnej, i tymi, którzy utrzymują się z cudzej pracy, istnieje zasadniczy konflikt interesów. Naturalnym dążeniem każdego pracownika jest pracować jak najmniej i zarabiać jak najwięcej. Większość woli pracować na życie niż żyć, by pracować. Oczywiście poza tą grupką szczęśliwców, którym praca daje nie tylko zmęczenie, ale i satysfakcję.

W wielu firmach braki kadrowe wynikające z niżu demograficznego i emigracji kompensuje się zmuszaniem już zatrudnionych do dodatkowego wysiłku. Towarzyszy temu indoktrynacja, której wynikiem jest nowe zjawisko znane jako „kult zapierdolu". W myśl tej ideologii ktoś, kto pozwala szefowi włazić sobie na głowę i poczuwa się do odpowiedzialności za losy firmy, mimo że nie ma w tym jego wyraźnego interesu, nie jest dętym frajerem, który nie umie żyć, tylko człowiekiem sukcesu, podporą biznesu. Wszystko to jednak podejrzanie przypomina przodowników pracy z czasów dawno minionych. Koleś, który przebywa wprawdzie na plaży w towarzystwie rodziny, ale jest na okrągło przyspawany do laptopa i komórki, nic nie ma z życia. Jest niewolnikiem i droga fura, komóra i mieszkanie na kredyt tego nie zmienią.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Jeżeli w pracy robię to, co lubię, robię, co chcę, i nikt mną nie pomiata – to może to być nawet recepta na szczęście. Ale ile jest takich prac?

Nawyk ciągłego zasuwania na dwóch, trzech etatach, po godzinach, zamiast urlopu – wszystko to oducza nas korzystania z życia. Do tego stopnia, że w badaniach spora część Polaków twierdzi, że nie potrzebuje czasu wolnego, bo nie wiedziałaby, co z nim począć.

Różne są motywacje ludzi zniewolonych przez pracę. Są tacy, którzy muszą pracować na okrągło, żeby po prostu przeżyć do pierwszego. Znałem takiego gościa, który po skończeniu pracy w ochronie szedł na wysypisko segregować śmieci. Miał córkę na studiach, więc musiał. W wieku 54 lat zmarł na zawał. Inni zasuwają świątek, piątek czy niedziela, bo kuszeni reklamami czy realną potrzebą, np. mieszkaniową, tak się zakredytowali, że są niewolnikami banków i lichwiarzy. Są wreszcie ci, którzy cierpią na swoisty syndrom sztokholmski i utożsamiają się z firmą, właścicielem. Są na gwizdek – mimo że zarabiają niewiele ponad minimalną.

Jesteśmy jak te chomiki, co pędząc w kołowrotku, stoją w miejscu. Uczciwością i pracą ludzie się nie bogacą. No chyba, że cudzą pracą.

Czas się na chwilę zatrzymać. Zażądać udziału w zyskach. Zastrajkować. Czas wyjść z klatki.

PIOTR IKONOWICZ

WIEŚCI GMINNE i INNE

Koncern paliwowy Orlen poinformował, że nie będzie już sponsorował najważniejszej ligi motoryzacyjnej świata zwanej Formułą 1. Ów sponsoring polegał na tym, że Orlen przez ostatnie pięć lat wyłożył 200, a może 250 mln zł (dokładnie nie wiadomo) w zamian za to, że na spoilerach bolidów Red Bulla pojawił się napis „Orlen". Wizerunkowy strzał w stopę rzec można. Kto teraz w Polsce kupi na stacjach Orlenu choćby kroplę benzyny lub kubek płynu do spryskiwaczy? Jeżeli chodzi o mnie, czuję się głęboko urażony. Za karę tankować będę na Shellu, gdzie paliwa także pochodzą z Orlenu, ale przecież mogę udawać, że nic o tym nie wiem.

Witold Bachaj, biznesmen z Łańcuta prowadzący firmę handlującą bakaliami, został skrępowany, pobity i polewany wrzątkiem przez bandytów, którzy napadli na jego dom i żądali gotówki. Początkowo uważał, że jest to wizyta skarbówki albo siepaczy z ZUS-u. Że nie, zorientował się dopiero, gdy usłyszał, iż zamaskowani osobnicy mówią w jakimś zagranicznym języku. Bandyci zabrali 9,5 tys. euro, 51 tys. zł, zegarek za 80 tys. zł i biżuterię wartą 40 tys. zł. Rzec można, że pan Witold sam jest sobie winien. Mając na nadgarstku sikora za osiem dych, powinien dziękować losowi, że nie odrąbano mu ręki. Nawet handel rodzynkami wymaga elementarnej znajomości natury ludzkiej i dobrych obyczajów. *Zapewniam, że organy ścigania pracują nad sprawą* – uspokajał pana Bachaja Krzysztof Ciechanowski, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Rzeszowie. Pan Bachaj jest uspokojony.

Natomiast mieszkający w Zgorzelcu Jakub Woliński wciąga nas w wojnę z Niemcami. Podał do Sądu Administracyjnego w Dreźnie Republikę Federalną Niemiec o naruszenie zapisów kodeksu Schengen dotyczących swobody podróżowania. Pan Jakub bowiem nie zaznaje swobody podróżowania. Ilekroć przekracza granicę na Nysie Łużyckiej – a zdarza się to cztery razy dziennie – jadąc do niemieckiej części miasta zwanej Görlitz, jest wnikliwie kontrolowany przez niemiecką policję graniczną i Zollamt. Fryce sprawdzają, czy nie przewozi nielegalnych emigrantów lub nie szmugluje fajek, no i czy jego samochód nie jest czasem kradziony. Niestety nie szmugluje, co oznacza, że Republika Federalna Niemiec popadnie w straszliwe kłopoty.

Przygotowania do III wojny światowej idą pełną parą. Z Radomia wieje grozą. Łucznik pracuje na pełnych obrotach, kując stal dla nowej wojny. Produkcja wzrosła o dwie trzecie. W huku maszyn słychać szelest banknotów i pochodzący z Kremla cichy dreszcz przerażenia. 45 tys. Grotów. 13 tys. Visów. 1300 granatników. Wzrost produkcji o 62,5 proc. rok do roku. Rosyjski szpiegu, jeśli to czytasz, wiedź, że Polska jest gotowa.

eprasa.pl 176d1681c2

Mniej kochania, więcej orania

Recepta na demografię

Początek roku, czas postanowień. Być albo nie być, oto jest pytanie. Nikt, rzecz jasna, nie planuje sobie zawału przy deserze, ani nie rozważa, co los mu odbierze w nadchodzących miesiącach. Za to niejedna niewiasta w ferworze karnawałowych uniesień postanawia sprowadzić na świat kolejną istotę ludzką. Podejmuje decyzję fundamentalną, decyzję o życiu i śmierci, decyzję za kogoś, kto jeszcze nie istnieje. Być albo nie być – oto jest pytanie, na które matka odpowiada za dziecko.

Nie są to odosobnione przypadki – dowodzę wprost. W zeszłym roku takich decyzji było 140 milionów na całym świecie. Nie w kij dmuchał. Mają one doniosłe znaczenie nie tylko dla jednej kobiety, ale dla dziania się naszej cywilizacji w ogóle.

Eksplozja czy depopulacja?

Takimi masowymi zachciankami o posiadaniu potomstwa zajmują się już poważni uczeni demografowie uzbrojeni w wyrafinowane liczydła, na których kalkulują współczynnik urodzeń, współczynnik dzietności, saldo przyrostu naturalnego, prognozują fazy rozwoju demograficznego oraz rekonstruują historyczne trendy. Zestawiają ten globalny pociąg do macierzyństwa z ilością wody, przyrostem lub spadkiem PKB. A na tej podstawie modelują tak zwane piramidy populacyjne, wyliczają dywidendę demograficzną. W końcu wmawiają nam, że istnieją pułapki demograficzne, a te prowadzą niechybnie do niedoboru urodzeń (depopulacji; wszyscy umrzemy, bo jest nas coraz mniej) albo bomby demograficznej (wszyscy umrzemy, bo jest nas coraz więcej i pozjadamy się wzajemnie). Aby być uczciwym należy nadmienić, że uczeni wróżą raczej lokalne depopulacje przy jednoczesnym przeludnieniu całej planety.

Z uzasadnionym politowaniem patrzę na te spekulacje paranaukowe, jak na jakieś ezoteryczne wróżby. Nie słyszałem jeszcze, żeby kobieta podejmowała decyzję o ciąży – którą jednak każdorazowo musi jeszcze przecież z kimś skonsultować, inaczej się nie da – w oparciu o współczynnik przyrostu PKB, inflacji oraz sytuacji na rynku pracy za lat 20. Toć to czysty nonsens.

Chociaż matki to koniunkturalistki i wyrachowane bestyje, zdają się nie zaprzątać sobie głów tym, czy ich latorośl w przyszłości udźwignie ciężar spłodzenia potomka i jak to wpłynie na kruche fundamenty systemu emerytalnego, czy zasiłku dla bezrobotnych. Nawet erudytki i oświecone damy niczym strusie chowają głowy w piasek ignorancji wobec tych palących kwestii. Ot, matczyna logika – cud i miód, dopóki rachunki płaci tatuś, a pieluchy zmieniają krasnoludki.

Czy matka Ziemia pęknie?

Większość z nas zawdzięcza swoje istnienie przypadkowi, chwili uniesienia, alkoholowemu szaleństwu, pękniętej gumce, czy innemu kaprysowi losu. A jednak naukowcy i politycy łamią sobie głowy nad tym, czy wymrzemy, czy się pozjadamy, choć odpowiedź znajduje się bardziej na dnie kieliszka niż w uczonych księgach. Demografia to wróżenie z fusów, gdybologia w czystej postaci.

Problem „wymrzeć czy pozjadać" to dylemat starszy niż naukowe ludnościoznawstwo. Już w roku zerowym, gdy po Ziemi (jeszcze nieplanecie) stąpało 230 milionów ludzi, zasoby bywały skąpe, a sąsiedzi niebezpieczni. Większość wojen to przecież nic innego jak walka o żarcie i przestrzeń życiową. „Nasze zasoby się kończą, więc musimy podbić innych, zabrać im to, co mają, bo inaczej koniec z nami" – tak mniej więcej myśleli nasi przodkowie, machając maczugami i mieczami. I w sumie niewiele się zmieniło, tylko maczugi zastąpiły drony i bomby atomowe.

Świętość życia – oto przeszkoda na drodze do opanowania demograficznej apokalipsy. Konstytucje, nawet najohydniejszych reżimów, deklarują prawo do życia jako fundamentalne, niezbywalne i wyjątkowe. Działania mające na celu przedłużanie i podtrzymywanie życia uznawane są za słuszne i pożądane.

Jednocześnie, zdając sobie sprawę z nadciągającej katastrofy przeludnienia, próbujemy regulować powstawanie nowego życia (planowanie rodziny) – co samo w sobie jest absurdalne. Ograniczamy narodziny nowych, silniejszych organizmów na rzecz podtrzymywania życia starzejących się osobników, których szanse na przetrwanie maleją z każdym dniem. Logiczniejsze byłoby promowanie eutanazji i zakaz antykoncepcji – tyle że taka postawa nie mieści się w ideologii żadnej partii w krajach „białego człowieka".

Intryga? Machinacja? Komplot?

Gdy sprawy się gmatwają, a przeciętny umysł nie potrafi ich pojąć, rodzi się podejrzenie: spisek. Czyżby bogacze, świadomi zagrożenia przeludnieniem, uknuli plan depopulacji? Skoro nie mogą otwarcie mówić o eksterminacji „zbędnych" dla dobra reszty, działają w ukryciu, kombinując, jak pozbyć się „robactwa", by planeta odetchnęła.

Takie przypuszczenia są ze wszech miar uzasadnione. Znane z historii przypadki ludobójstwa: hitlerowski Holokaust, rzeź Ormian przez Turków, eksterminacja Herero i Namaqua (1904), Hołodomor (1932), ludobójstwo w Kambodży (1975), czystki etniczne w Darfurze (od 2003), masakra w Srebrenicy (1995), zagłada Asyryjczyków i Greków Pontyjskich (dziesięć lat od 1914), rzeź Tutsi przez Hutu w Burundi (1972) a potem w Rwandzie (1994) czy wymordowanie przez Hiszpanów 50 milionów mieszkańców Ameryki Środkowej i Południowej (XVI wiek) – nigdy nie figurowały oficjalnie w programach państw, rządów czy partii. Zawsze kryto je za zasłoną eufemizmów: „ostateczne rozwiązanie", „czystka etniczna", „zapobieganie rebelii", „rozkułaczanie", „przywracanie porządku", „rok zero", „nawracanie niewiernych".

Sześć lat minęło od pandemii, piętnaście milionów ofiar, a my nadal drapiemy się po głowach. Skąd ten COVID-19? Z laboratorium? A co tam robił? *Pochodzenie COVID-19, choroby wywołanej przez wirusa SARS-CoV-2, jest nadal przedmiotem intensywnych badań i dyskusji*. Coś takiego! W naszym nowoczesnym, prześwietlonym świecie, nadal nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

Dlaczego? Co tu się dzieje?

Czy na pewno wiemy, co wstrzykujemy?

Pandemia dała nogę, ale zostawiła po sobie zastępy zaszczepionych. Nie jestem antyszczepionkowcem, broń Boże, ale kto rękę da uciąć, że te 4,1 miliarda dawek to sama dobroć? Powstrzymały zarazę, ale co z efektami ubocznymi? Bezpłodność, choroby autoimmunologiczne, a może coś jeszcze gorszego, o czym dowiemy się za lat parę? Ziemia też wydawała się płaska, dopóki ktoś nie spojrzał na nią z kosmosu.

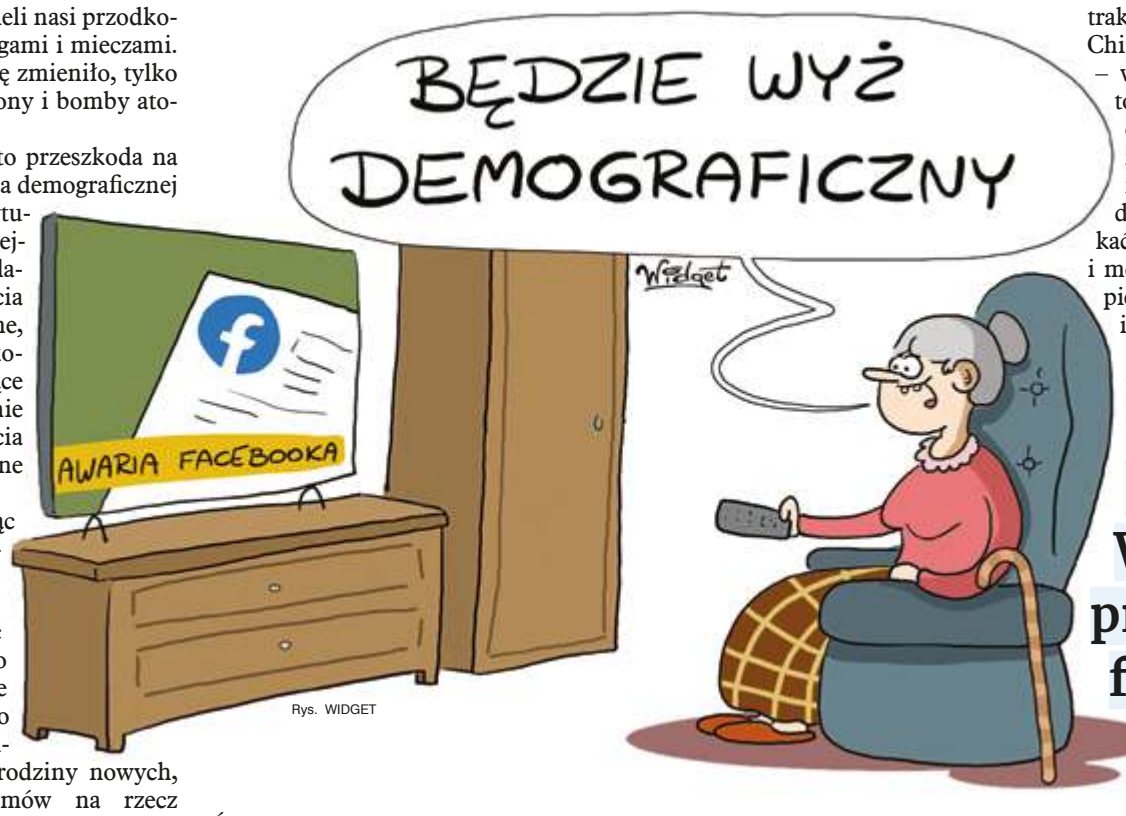

Rys. WIDGET

Wykazano niestety *niezamierzony* jednoznaczny związek między szczepionką a zapaleniem mięśnia sercowego, zespołem zakrzepowo-małopłytkowym, ciężkimi reakcjami alergicznymi, autoimmunologicznym rozpadem układu nerwowego, zapaleniem nerwu twarzowego – ale są to *bardzo rzadkie przypadki*. Jak przecież twierdzi Światowa Organizacja Zdrowia (WHO), *nie ma dowodów*, że szczepionki powodują problemy z płodnością, osłabieniem odporności lub modyfikacje DNA. Łoł! Brak dowodów na istnienie czegoś nie jest dowodem na nieistnienie, a w logice formalnej nazywa się to *argumentum ad ignorantiam*. Zaraz mi zarzucicie, że jestem siewcą teorii spiskowych i manipuluję faktami.

Nie jestem demagogiem, ale chciałbym wreszcie poznać te fakty. Nie mam nic przeciwko, że Bill Gates być może chciał mnie zamordować jakimś zastrzykiem, w końcu nie on jeden. Wiem, co znaczy utylitaryzm i w pełni poopieram tę koncepcję. Jestem gotowy do samopoświęcenia, jednak mam prawo wiedzieć.

Koniec z przeludnieniem!

Co najważniejsze i dlaczego powstał ten artykuł? Wydaje mi się, że istnieje rozwiązanie problemu demograficznego, tylko nikt go nie widzi być może dlatego, że jest ono zbyt proste. Traktory! Potrzebujemy więcej traktorów! Otóż współcześnie Ziemia może wyżywić 34 razy więcej populacji niż 2 tysiące lat temu nie dlatego, że jest jej więcej, ale dlatego, że nastąpił lawinowy wzrost wydajności produkcji rolnej przy jednoczesnym spadku liczby rolników. Było to możliwe dzięki mechanizacji rolnictwa, chemizacji, a nawet – obecnie – informatyzacji. Co również paradoksalne, w regionach świata, gdzie problem głodu nie istnieje, ze wspomnianych powodów przyrost naturalny jest ujemny, bez żadnej ingerencji władzy – no chyba że tak jak w Polsce jest ona nieudolną polityką wzrostu przyrostu naturalnego.

Rozwiązanie jest proste: dajmy im traktory! Hindusom, Murzynom, Chińczykom, Muzułmanom, Arabom – wszystkim. Pługi, brony, kultywatory, kombajny, kosiarki, siewniki, opryskiwacze, systemy irygacyjne, no i co najważniejsze ciągniki rolnicze – pełny zestaw. Zamiast ględzić o planowaniu rodziny, przymykać oczy na kryptosterylizację kobiet i mężczyzn, zastanawiać się czy szczepienia są na grypę, czy wstrzykiwano im fenol w trosce o równowagę demograficzną.

Niech orają, sieją i zbierają. Wtedy strach przed demograficzną i migracyjną zagładą minie. Czołgi to wszyscy chętnie wysyłają, może zatem i kultywatory za darmo?

Jeśli jednak na traktory brak kasy, to dajmy kobietom spokój. One same rozliczą się z demografią. Wiedzą, ilu Budów, Hitlerów czy Picasso świat potrzebuje. Mają kobiecy radar, nos do takich spraw. Zaufajmy im, a Excela wyłączmy. W końcu to one rodzą, nie komputery. A facet niech idzie na piwo.

ROBERT JARUGA

Uzbrojona po zęby. Każdy dom to twierdza. Każdy Polak to żołnierz. Zastanów się dobrze, nim naciśniesz czerwony guzik. Bo odpowiedź będzie miażdżąca. A wtedy już nic cię nie uratuje. Nawet wódka.

▮ Policja w Parchowie dokonała brawurowego przejęcia... słoika. W środku aż 550 gramów suszu konopnego i siedem badyli. Wstrętny diler, groźny baron narkotykowy, co to pewnie ćpał sam ze sobą, teraz posiedzi. Aż 10 lat może gnić w pierdlu za te okropne zielsko. Brawo, władza!

▮ 400 mln pasażerów – taki wynik osiągnęła polska kolej w minionym roku. Historyczny rekord ogłosił Urząd Transportu Kolejowego. Polacy pokochali pociągi, a pociągi, choć z zadyszką, odwzajemniają tę miłość. Oczywiście, nie obyło się bez problemów. PKP Cargo, dowodzone przez lata przez nieudolnych menedżerów, przypomina raczej rozklekotaną drezynę niż nowoczesną lokomotywę. Ale nie ma róży bez kolców. Doceniajmy więc wysiłek kolejarzy, ich codzienną walkę z przeciwnościami losu i biurokratycznymi absurdami. Pamiętajmy o nich, gdy w wygodnym wagonie popijamy kawę, gapiąc się na przemijający krajobraz. To dzięki nim dotrzemy do celu. Może nie zawsze na czas, ale dotrzemy.

▮ Triumf wrocławskiej policji! Po brawurowej akcji godnej Jamesa Bonda udało się odzyskać… muszlę ślimaka. Tak, dobrze czytacie. Muszlę. Skrzydelnika wielkiego, którym handel jest zabroniony międzynarodową konwencją. Mieszkanka Wrocławia, niczego nieświadoma (a może udająca), usiłowała sprzedać ten skarb natury za jedyne 190 zł. Na szczęście czujne oko prawa przemówiło. Rewizja, przesłuchanie, konfiskata dowodów. Kobieta tłumaczyła się nieznajomością prawa, co w świetle jej przestępczego procederu brzmi dość… muszlowo. Pięć lat więzienia jej grozi. Za muszlę. Ślimaka. Brawo policja! Kolejny groźny przestępca za kratkami. Świat jest znów bezpieczny. Można spać spokojnie. A skrzydelnik wielki? Pewnie skończy w policyjnym muzeum jako trofeum zwycięstwa nad… muszlową mafią.

▮ 39 mld 760 mln zł wyrwały banki z kieszeni Polaków w ciągu jedenastu miesięcy 2024 r. 44,3 proc. wzrostu zysków rok do roku zapisał NBP. Bankierzy, niczym współcześni stachanowcy finansjery, harują. Oczywiście, harują nad arkuszami kalkulacyjnymi, przestawiając przecinki i dopisując zera do swoich premii. Tymczasem prawdziwi robotnicy, ci od brudu, potu i odcisków, ci, którzy rzeczywiście wytwarzają wartość, mogą im co najwyżej buty czyścić. Polski system bankowy nie jest po prostu chory. On jest zgniły do szpiku kości. To rak, który toczy naszą gospodarkę, wysysając z niej życiodajne soki.

▮ Inna mieszkanka Wrocławia urodziła psa. Noworodka znaleziono w oknie życia przy ul. Rydygiera. Siostry z Kongregacji Sióstr Miłosierdzia św. Karola Boromeusza wykazały stosowne zrozumienie wobec wyrodności matki, chociaż same nie były nigdy matkami bo są siostrami. Wyjaśniają, że matce która urodziła psa nic nie grozi i nie będzie ona poszukiwana. Poprzedni przypadek urodzenia przez samicę gatunku *Homo sapiens* ssaka innego niż człowiek odnotowano w Anglii w 1726 r., kiedy niejaka Mary Toft powiła króliki. Przypuszcza się jednak, że było to oszustwo.

▮ Pan Tomasz Sobania, pochodzący z Górnego Śląska Forrest Gump, przemierza Amerykę wzdłuż, z buta. 3948 km ma za sobą, 94 maratony w nogach, 15 par butów w strzępach. Ambitny zamiar, co tu kryć. Ale czy aż tak niezwykły? Moja żona bez żadnych maratonów potrafiła z równą łatwością zdzierać 15 par butów miesięcznie. I to bez wychodzenia z domu. Ot, kobieca natura. A pan Sobania? Niech biega – zdrowie dobra rzecz. Tylko niech się nie dziwi, jeśli po dotarciu do Los Angeles okaże się, że moja żona zdążyła tam wcześniej. Samochodem, oczywiście.

▮ Ministerstwo Sprawiedliwości podniosło opłaty za tzw. czynności adwokackie o 100 proc. Rozporządzenie weszło w życie 31 grudnia. *Podwyżki opłat adwokackich nie podniosą jednak kosztów usług prawnych. Oznacza to, że nie odczują ich obywatele. Regulacja stawek będzie korzystna zarówno dla prawników, jak i dla ich klientów, ponieważ więcej adwokatów będzie zainteresowanych sprawami z urzędu* – twierdzi ministerstwo Adama Bodnara. Ziobryzm w czystej postaci.

▮ Rybacy z Helu narzekają na zakłócenia sygnału GPS na Bałtyku: *Kompasy satelitarne, a nawet radary nie działają, a przecież powinny działać!* Aby bezpiecznie wrócić z łowisk, kutry używają tradycyjnych magnetycznych kompasów. Są one prostsze, tańsze i niezawodne. Jest to oczywiście argument przeciw temu rzekomemu postępowi, jaki przyniosły nam satelity i komputery.

RJ

PS Z należytą pokorą i niejakim rumieńcem informujemy, że „Wieści" pochodzą od naszych dzielnych kolegów z prasy regionalnej, którzy w ostatnim czasie oddawali się intensywnym badaniom terenowym wspomaganym przez lokalne specjały procentowe. Innymi słowy, jeśli coś tu zabrzmiało jak kompletna bzdura, to prawdopodobnie tak właśnie jest. Z wyrazami szacunku, ale bez gwarancji, Redakcja.

eprasa.pl 176d1681c2

Ratownictwo ginekologiczne, ratownictwo etyczne

Ponure wieści z Wrocławia

Moja niewątpliwa czystość wystawiona została na próbę i narażona na szwank, gdy trafiłem w prasie na bulwersującą notatkę o wrocławskich ratownikach. Oto dwóch dżentelmenów miało dokonywać w czasie interwencji w domach pacjentek *nielegalnych badań ginekologicznych* – to znaczy pchać im paluchy do cipek, pod warunkiem, że były dostatecznie ładne. Dostatecznie ładnych nazbierało się aż kilkadziesiąt, przy czym jedną coś tknęło i złożyła skargę. Po nitce do kłębka i mamy całą aferę ginekologiczną.

Wszystko tu gorszy, zadziwia i szokuje. Niewiele wiemy o sprawie, ale należy się domyślać, że skoro doszło do badań, to wezwania musiały mieć tło ginekologiczne. Tylko w takim wypadku pacjentki mogły uważać za coś w miarę przynajmniej zrozumiałego, że ratownik każe im pokazać, jak tam się sprawy mają między nogami. Tu jednak trzeba odróżnić dwa przypadki: kobiety niebędące w ciąży i kobiety ciężarne. W przypadku ciężarnych, w szczególnych okolicznościach przedwczesnego porodu, w stanie wyższej konieczności i w porozumieniu z lekarzem (nawet na telefon) ratownik może podjąć się badania, a nawet udzielenia pomocy w porodzie bądź poronieniu. Tego rodzaju przypadki odsuwamy na bok, bo nie o takie czyny obwiniani są dziś wrocławscy ratownicy, lecz o wykorzystywanie objawów ginekologicznych do tego, by czerpać przyjemność z dotykania narządów rodnych pacjentki. Tu jednak znowu mamy dwie możliwości. Jedna to objawy bólowe z okolic miednicy bez upławów i krwawienia z pochwy, a drugie – z upławami i krwawieniem. Prasa donosi, że jeden z ratowników pchał łapy, gdzie nie trzeba, miesiączkującej po raz pierwszy dziewczynce. Może więc nasi bohaterowie należą do kasty wyżej wtajemniczonych seksualnie miłośników krwistego seksu? A może jednak woleli pacjentki „suche", a tylko skarżące się na bolące dołem brzuchy? Śledztwo pokaże.

Od czasu łódzkiej afery łowców skór, gdy szajka sanitariuszy w okrutny sposób mordowała setki pacjentów dla prowizji od zakładów pogrzebowych, nad personelem karetek pogotowia wisi ponury cień podejrzeń i nieufności. Dziś karetkami jeżdżą wyspecjalizowani ratownicy, absolwenci studiów uniwersyteckich, którzy bardzo by nie chcieli być kojarzeni nie tylko z budzącą grozę zbrodnią sprzed 20 lat, lecz przede wszystkim z prostactwem i obcesowością, bo takie wszak ludzie mają zadawnione o sanitariuszach wyobrażenia. To, co stało się we Wrocławiu, w dużym stopniu niweczy kilkunastoletni wysiłek budowania w społeczeństwie nowego wizerunku „człowieka z karetki". Trzeba było – a właściwie to nadal trzeba – przekonywać społeczeństwo, że

przekazanie interwencji w nagłych przypadkach medycznych wyspecjalizowanym ratownikom, zastępującym w tych czynnościach lekarzy, nie oznacza żadnej degradacji, lecz właśnie specjalizację.

Trzeba było – i nadal trzeba – budować zaufanie do ratowników medycznych, a tu nagle taki klops. Jest mi szczerze przykro z tego powodu. Ratownicy, którzy dziś jeżdżą karetkami, nie zasłużyli na to, co ich spotkało, choć oczywiście w pierwszym rzędzie skrzywdzone zostały pacjentki molestowane przez dwóch drani.

Paradoksalnie wszyscy ratownicy niebędący medykami cieszą się wielkim szacunkiem, podczas gdy akurat ci najliczniejsi – ratownicy medyczni – mają bardzo niejasną opinię. Inaczej jest przecież z ratownikiem-strażakiem, ratownikiem-wodniakiem, GOPR-owcem czy ratownikiem-górnikiem. A przecież to właśnie ratownik-medyk jest wzorcem dla tego zawodu i każda specjalizacja ratownicza powinna być zbudowana na fundamencie kształcenia medycznego.

Niewiele jest zawodów tak moralnie wymagających jak zawód ratownika. Decyzje, które musi podejmować ratownik, wymagają nie tylko wiedzy i kompetencji medycznych, lecz często również wielkiej odwagi, wyjątkowej odpowiedzialności i wrażliwości moralnej. Warto wiedzieć, na czym to polega – tak dla zrównoważenia okropnych obrazków, jakie mamy w głowach.

JAN HARTMAN

Dajcie wszyscy spokój z apelami o delegalizację fajerwerków. Ich używanie w Polsce będzie tak samo zakazane, jak aborcja legalna.

Fajerwerki wciąż psu w dupę

5!

Co roku przynajmniej do połowy stycznia trwa posylwestrowy pokot biadolenia o dramatach ofiar hucznej tradycji świętowania wejścia w nowy rok. Jako że w przestrzeni medialnej nie wypada pokazywać trzęsących się ze strachu i robiących pod siebie autystów, internet zalewają nagrania martwych saren, telepiących się burków, padłego z przerażenia ptactwa i innych wiewiórek, które na zwolennikach kolorowego smrodu na niebie nie robią kompletnie żadnego wrażenia.

Tradycyjnie na krwawych doniesieniach zaczynają balansować politycy, którzy gdzieś w okolicach święcenia jaj i kiełbasy cichaczem inicjują projekty ustaw mających ukrócić proceder pirotechnicznej onanii. Oficjalnie, żeby zdążyć ze związaniem łap fanatyków wystrzałów przed kolejnym sylwestrem; nieoficjalnie korzystając z tego, że wiosną polactwo projektuje majówkę, a nie grudniowe harce, więc mało kto im w te ustawy zajrzy. Nim się wszyscy obejrzą, miłośnicy strzelania znów zaczynają festiwal wkurwiania burków, a właściciele psów z nadzieją wypatrują urwanych paluszków tych pierwszych. I tak to się kręci. W połowie ubiegłego roku zapowiadano, że tym razem będzie inaczej. Otóż gówno.

4!

Od kilku miesięcy w sejmie leżakują trzy projekty ustaw – autorstwa Koalicji Obywatelskiej, Lewicy i trzeci, obywatelski – wszystkie związane z zakazem lub ograniczeniem używania sztucznych ogni. Ich wysłuchanie publiczne ma nastąpić, wedle zapowiedzi, jeszcze w styczniu.

KO proponuje embargo na pirotechniczne zabawki o średnim poziomie zagrożenia i hałasu oznaczone jako F3 (czyli np. duże wyrzutnie i rakiety), dopuszcza natomiast te cichsze, oznaczone symbolem F2 (np. rzymskie ognie, fontanny). Co istotne, zakaz nie dotyczyłby przedsiębiorców (np. z szeroko pojętej branży eventowej) czy naukowców.

O krok dalej poszła Lewica, proponując zakaz sprzedaży i użytku sztucznych ogni z obydwu wspomnianych grup dla osób fizycznych (podobną propozycję wysuwa projekt obywatelski) oraz dając samorządom wolną rękę w decydowaniu, czy na ich terenie w ogóle będzie można fajerwerków używać. Nowe przepisy nie uwzględniają kategorii F1 (np. zimnych ogni) ani najwyższej F4: wyrobów pirotechnicznych stosowanych przez wyszkolonych specjalistów. Jak na komendę z bloków startowych ruszyło Stowarzyszenie Importerów i Dystrybutorów Pirotechniki, wsadzając paluch w ministerialne drzwi. Co gorsza, wiele wskazuje na to, że skutecznie.

3!

Stowarzyszenie Importerów i Dystrybutorów Pirotechniki swoją siedzibę ma w maleńkim podzielonogórskim Czerwieńsku w województwie lubuskim, ale jego umiejętności marketingowe sięgają dalej niż wystrzeliwane przez obywateli w nieboskłon hałaśliwe gównidła.

W odpowiedzi na zapowiedź ustawowego klapsa przedstawiciele branży huku i smrodu, członkowie Stowarzyszenia wysmarowali swoje stanowisko, którego lektura w normalnych okolicznościach wywołałaby uśmiech pod wąsem. Ale jako że mówimy o całkiem skutecznym lobby i posłach na smyczy sondaży, warto zachować powściągliwość w tej radości. Oprócz prośby o *adekwatne i proporcjonalne regulacje* oraz *interwencję*, piromani w swoim piśmie smutno skonstatowali, że *przeciwnicy fajerwerków podchodzą do tej problematyki zbyt pryncypialnie, bez woli wysłuchania argumentów licznej grupy polskich przedsiębiorców (…), jak również interesów fiskalnych Rzeczpospolitej* (sic!).

Można odnieść wrażenie, że wokół fajerwerków próbuje się wprowadzać negatywną atmosferę, używając bezwzględnie tzw. fake newsów zamiast merytorycznych argumentów – podkreślono, co jest o tyle zabawne, że w tym samym stanowisku również podparto się nieco podkolorowanymi dowodami własnych racji.

2!

Według Stowarzyszenia *wszystkie projekty ustaw w zaproponowanym kształcie wprowadzają przepisy prawne nieproporcjonalne do chronionego interesu prawnego i nieuwzględniające złożoności różnych dziedzin życia społecznego i gospodarczego.*

Towar oferowany przez branżę ma zastosowanie głównie rozrywkowe; niefortunne następstwa tej rozrywki odnotowują nie tylko szpitalne oddziały ratunkowe i jednostki państwowej straży pożarnej. Z badań przeprowadzonych w 2022 r. przez Instytut Procesów Chemicznych Czeskiej Akademii Nauk (CAS) wynika, że w fajerwerkach znajdują się m.in. rakotwórcze związki antymonu i talu oraz silnie toksyczne związki arsenu i baru. Jak wynika z polskich badań, w okresie sylwestrowym stężenie pyłów PM10 rośnie do 67 mikrogramów na metr sześcienny. To o ponad 30 proc. więcej, niż wynosi dobowa norma Unii Europejskiej.

Argumentem na rzecz nowych regulacji jest ochrona zwierząt, które według obrońców ich praw oraz wszystkich tych, którzy nie rzucali w szkołę kamieniami, cierpią z powodu stresu wywoływanego przez hałas. Jednak według Stowarzyszenia *w okresie sylwestrowo-noworocznym zwierzęta nie cierpią bardziej niż w innych okresach roku.*

Skąd to wiadomo? Piromani to zbadali: *z danych uzyskiwanych przez Stowarzyszenie w latach 2019–2024 wynika, że w okresie sylwestrowo-noworocznym służby odpowiedzialne za interwencje w sprawach zwierząt nie odnotowują ich częstszych ucieczek; co więcej, interwencji jest o wiele mniej niż np. w okresie wakacyjnym.* Co prawda źródeł danych nie przytoczono, ale może i lepiej, bo mogłoby się okazać, że są warte tyle samo, co rzekome społeczne poparcie dla propozycji wysuniętej przez SIiDP.

1!

Fajerwerkarze lobbyści wyszli bowiem z pomysłem, aby utworzyć zony wolne od korzystania z materiałów pirotechnicznych. Te miałyby obejmować parki narodowe, rezerwaty przyrody, obszary Natura 2000, tereny szpitali, placówki oświatowe i wychowawcze, obiekty zabytkowe, obszary śródmiejskie, place centralne, rynki, tereny sąsiadujące z ogrodami zoologicznymi, schroniskami dla bezdomnych zwierząt i lecznicami weterynaryjnymi.

Stowarzyszenie, powołując się na badania Ogólnopolskiego Panelu Badawczego Ariadna, twierdzi, że poparcie dla jego pomysłu jest ponadpartyjne: „za" ma być 75 proc. wyborców KO, 76 proc. – PiS, 78 proc. – Trzeciej Drogi i 67 proc. – Lewicy.

W sumie – twierdzą zawodowi piromani – aż 75 proc. respondentów uważa, że strefy wolne od fajerwerków są lepszym rozwiązaniem niż całkowity zakaz. Wszystko to stwierdzono jednak nie na podstawie sondażu, a internetowej ankiety,

która oczywiście nie ma reprezentatywnej próby, toteż jej wyniku nie da się miarodajnie przełożyć na całą populację. Równocześnie SIiDP uważa, że wprowadzenie zakazów i ograniczeń w dostępie do fajerwerków przez samorządy jest wykroczeniem poza ich kompetencje. Krótko mówiąc, gówno się zmieni. Już teraz w wielu miejscach obowiązują zakazy korzystania z fajerwerków, które są ignorowane. Wystarczy wspomnieć ubiegłoroczne odpalenie petard w Tatrzańskim Parku Narodowym.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jeb!

SIiDP ma poparcie Warsaw Enterprise Institute, konserwatywnego think tanku propagującego idee wolności gospodarczej, ekonomicznej i osobistej, działającego przy Związku Przedsiębiorców i Pracodawców. O tym, że to think tank, który nie w mąkę pierdział, niech świadczy fakt, że w przeszłości ucinał sobie pogawędki z samym rzecznikiem praw obywatelskich Marcinem Wiąckiem. WEI tworzą byli i obecni dziennikarze takich tytułów jak „Newsweek", „Dziennik Gazeta Prawna", „Rzeczpospolita" czy „Do Rzeczy".

O tym, jaką laurkę wystawia Stowarzyszeniu Importerów i Dystrybutorów Pirotechniki prasa, można się przekonać, poświęcając dwie minuty na wyszukanie pierwszego z brzegu artykułu w internecie. Wiewiórki, które przeżyły sylwestrową kanonadę, donoszą, że propozycja kompromisowa już zdobyła przychylność większości w parlamencie. I nie ma się czemu dziwić. Czy czworonożne, skrzydlate i ludzkie autystyczne stworzenia mogą konkurować z wartą 700 mln zł branżą?

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 176d1681c2

Komisyjny egzamin kardynała

Jeszcze się z Dziwisz

Do grona męczenników dołączył Stanisław Dziwisz. Wiekowy (85 lat) duchowny, zamiast z pompą celebrować przypadającą w kwietniu 20. rocznicę śmierci JP2, musi się mierzyć z kolejnymi oskarżeniami – nie tylko wobec Wojtyły, ale także wobec samego siebie. Jego stronnicy widzą w tym wściekły i zamierzony atak na tego, któremu Dziwisz służył.

Kapciowy

To nie jest wymarzona jesień życia. Dwie dekady temu, gdy papież z Polski umierał, Dziwisz był relikwią pierwszego stopnia i świętą krową zarazem. Prawie nikomu nie przeszło wówczas przez myśl, aby krytykować Lolka z Wadowic, a jego wierny sekretarz był integralną częścią opowieści o świętym. Jako taki miał immunitet i bilet wstępu na salony, gdzie podejmowany był jak król. W międzyczasie wydawał książki o swoim szefie, w tym tak kuriozalne jak „Więcej sportu", na okładce której pozuje z piłką, czy też najsłynniejsze „Świadectwo" opisujące sielankowe życie u boku największego z Polaków, który czas dzielił między modlitwę, walkę z komuną i uzdrawianie chorych. Choć świat gnał do przodu, a dowodzony przez JP2 Kościół wymagał głębokich reform, wszystko to odkładano na później, zastępując kultem kremówki. Dziś „don Stanislao" zbiera żniwo tej postawy.

Chcę zaznaczyć, że Ojciec Święty nigdy nie poddawał się wpływom krytyki, zwłaszcza gdy były one skutkiem uprzedzeń lub traktowały go instrumentalnie. Całą swą siłę czerpał z modlitwy, ze spotkania z Panem. Podążając śladami Ewangelii, wiedział, jaką drogą prowadzić Kościół: zmierzając prosto i nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo. Zawsze i we wszystkim naśladował Chrystusa, starając się być dobrym pasterzem dla swej owczarni. Był człowiekiem wolnym, wolnym wewnętrznie, co zapewniało mu poczucie spokoju – pisał o swoim pryncypale w „Świadectwie". Sam robił mu za żywą tarczę i własną piersią chronił przed niepochlebnymi komentarzami, podobnie jak przed kulami zamachowca w 1981 r. Bronił papaja również np. przed wiedzą o podbojach abepe Paetza oraz innych drapieżców seksualnych. Im kto mniej wie, tym lepiej śpi, a papież musi być wyspany, żeby mieć siłę błogosławić tłumy. W roli kapciowego Dziwisz sprawdzał się doskonale.

Niewiedzący

Zielone światło dla krytyki JP2 przerosło Dziwisza, który kompletnie nie umiał sobie w nowych warunkach poradzić. Przyzwyczajony, że głośniejsze tupnięcie zamyka usta każdemu, z przerażeniem odkrył, że to już nie on jest od tupania. Gdy największe media w Polsce zaczęły się zajmować ciemniejszą stroną skrywaną pod białą sutanną, Stanisław Dziwisz zachował się tak jak zawsze. Jego słynny występ w TVN („nie wiem, nie pamiętam") przejdzie do historii jako przykład dla innych, jak nie należy rozmawiać z mediami. Młodsi biskupi już się trochę tego uczą, ale nadal długa droga przed nimi.

Dotychczas Dziwisz musiał odpierać głównie ataki na swojego mentora. Wojtyła nie żyje, więc chętnie posługiwał się argumentem, że oto atakuje się świętego, który nie może się nawet bronić. Tymczasem w przestrzeni medialnej pojawiły się zarzuty, które dotyczą bezpośrednio „wdowy po papieżu". Wiadomo, że nie ma Dziwisza bez Wojtyły, a więc i linia obrony musi uwzględniać tę postać.

Onet podał, że

Dziwisza wezwano przed oblicze państwowej komisji ds. przeciwdziałania pedofili. Kardynał ma zostać przesłuchany w lutym w sprawie zgłoszonej komisji w 2021 r. przez mężczyznę, który przedstawił się jako ofiara kilku księży archidiecezji krakowskiej, w tym samego Dziwisza.

Rzecz – zdaniem zgłaszającego – miała miejsce w latach 70. XX w. na imprezie, na którą ściągnął go ks. Stanisław Konieczny. Dziwisz – jak informują dziennikarze Onetu – został wezwany w sprawie, ale nie jako sprawca. Komisja zajmuje się także sprawami przedawnionymi, więc upływ czasu nie ma tu znaczenia. Przewodnicząca komisji ani jej członkowie nie potwierdzają, że wezwali byłego metropolitę krakowskiego na przesłuchanie, bo obowiązuje ich tajemnica. Ale wysypał się sam zainteresowany.

Spisek

Odezwał się adwokat Dziwisza Michał Skwarzyński. W obszernym oświadczeniu zapewnia, że sprawa jest dęta. *Kardynał Stanisław Dziwisz kategorycznie zaprzecza, że brał udziału w spotkaniach, jakie są mu publicznie nieprawdziwie zarzucane. Jest to wymysł niemający żadnego oparcia w faktach. Jest to celowe działanie defamacyjne wymierzone w osobę Kardynała, a celem jest w oczywisty sposób Karol Wojtyła* – pisze adwokat. Sugeruje zarazem, że to spisek mediów i komisji mający na celu zdyskredytowanie jego klienta, a to znaczy również samego papieża: *Nie wykluczam jednak, że Redakcja jest informowana przez niezależną Komisję ds. przeciwdziałania pedofilii z wyprzedzeniem, aby przygotować grunt medialny na atak na jego osobę w celu zastosowania w/w mechanizmu* – stwierdza mecenas. Dowiadujemy się też, że kardynał *padł ofiarą szantażu i zemsty, bo nie zapłacił…*

Wiele wskazuje na to, że sprawa rzeczywiście jest wyssana z palca, a przynajmniej jej wątek dziwiszowski. Do przewidzenia było, że trafi się niejeden, który stwierdzi, że molestował go sam papież na placu św. Piotra, jeśli uzna, że może coś na tym ugrać. Nie uwierzył facetowi Marcin Gutowski z TVN24, który na Dziwiszu zjadł zęby, odrzuciły jego rewelacje inne redakcje. Brak wiarygodności mieli także potwierdzić biegli, którzy badali ten wątek w szerszej sprawie zgłoszonej przez mężczyznę do prokuratury. Dla prokuratury są to sprawy zbyt stare, żeby się nimi zajmować. Co innego komisja. Skoro podjęła się zbadania, niech bada.

Pełnomocnik ma prawo, a nawet obowiązek, bronić swojego klienta. Zaskakujące jest wszakże, że od razu uderza w wysokie tony i już w pierwszej rundzie powołuje się na JP2 oraz tropi spisek dziennikarzy i członków komisji. Jak na coś, co się nigdy nie wydarzyło, odpowiedź jest bardzo obszerna. Dziwisz z pełnomocnikiem wystrzelali się z nabojów w początkowej fazie walki. Widocznie swoje komunikaty kierują tylko do najtwardszych wyznawców, którzy z kolei nie uwierzą w żaden zarzut wobec Dziwisza czy tym bardziej Wojtyły. Albo coś jest na rzeczy i nerwy puściły.

Św. Nigdy

Dziwisz Dziwiszem, a tymczasem nieustannie czekamy w Polsce na rzetelne przebadanie ostatnich kilkudziesięciu lat skandali seksualnych z udziałem kleru. Ciągle słyszymy, że trwają prace nad powołaniem przy episkopacie tzw. komisji historycznej, ale idzie im jak po grudzie.

Jesteśmy w takim miejscu, że powoli te prace dobiegają końca. Mam nadzieję, że po intensywnej pracy w ciągu najbliższych miesięcy będziemy potrafili na jesiennych zebraniach plenarnych zarówno Konferencji Episkopatu Polski, jak i zebraniach plenarnych wyższych przełożonych zakonów męskich i żeńskich przedstawić do zaaprobowania ostatecznie wiążące decyzje – mówił w czerwcu 2024 r. abepe Wojciech Polak. Coś nam się zdaje, że biskupi będą „coraz bliżej prawdy" jak Kaczyński o Smoleńsku. To może potrwać. Wobec opieszałości hierarchów wzięła się za to państwowa komisja ds. pedofilii. Pierwsze efekty – w postaci oskarżeń o działanie w zmowie z kartelem medialnym polującym na Wojtyłę – już mamy.

Wizję badania historii przez biskupów dobrze ujął kard. Grzegorz Ryś, z wykształcenia historyk, protegowany Dziwisza z Krakowa. Broniąc JP2 przed krytyką mediów, zarysował oczekiwania episkopatu wobec badaczy.

Jeśli będzie się przeprowadzać poważne, przyzwoite badania historyczne tak, jak tego wymaga warsztat, to nie mam cienia wątpliwości, że Papież się obroni. Nie mam ani cienia wątpliwości! Natomiast debata publiczna, która toczy się, jest obracaniem ciągle tych samych faktów, które są bardziej faktami medialnymi niż rzeczywistymi – mówił w marcu 2023 r. A więc należy badać do tej pory, aż wyjdzie tak, jak wyjść powinno.

MATT KOBOSKO

Rys. MARCIN CHUDZIK

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Polacy są w sytuacji, w której rządzą ludzie, próbujący za wszelką cenę realizować antyludzką formację. (…)* ***Nie będzie mężczyzn. Nie będzie kobiet. Będą tylko osoby.*** *Co więcej, (…) ma być wprowadzony układ prawny, który nie pozwoli młodzieży do 18. roku życia realizować podstawową funkcję chrześcijańską, podstawową funkcję związaną z przekazywaniem i odbudowywaniem swojej tożsamości chrześcijańskiej.* ***Nie będą mogli w kościele (…) przekazywać swoich dramatów, które są związane z tym, co czasami ludzie niestety wykonują, niestety robią, niestety im się zdarza.***

Antoni Macierewicz, TV Trwam, 3 stycznia

■ *Wychodzą problemy, które pojawiły się wcześniej, ale nie wiedzieliśmy o nich, bo osoby, które doświadczyły wykorzystywania seksualnego, nie zawsze zgłaszały te sytuacje.* ***Niestety pojawiły się także nowe fakty, które nas bulwersują, bo dochodzi do nich mimo świadomości szkód, jakie wyrządzają, i stworzonego w Kościele systemu ochrony małoletnich. Myślę, że problem ten wynika m.in. z ogromnej seksualizacji naszego społeczeństwa. Jeśli młody człowiek nie potrafi podjąć pracy nad sobą, jakiejś samokontroli, jeśli w sytuacjach kryzysowych nie szuka pomocy u specjalistów, to z czasem może dojść do takich sytuacji jak w ostatnim roku.***

abp Tadeusz Wojda, PAP, 1 stycznia

■ ***Barbara Nowacka nie jest osobą ani mądrą, ani wykształconą, ale jest niezwykle konsekwentnym wykonawcą lewicowej ideologii mającej za zadanie zawłaszczenie dusz, umysłów i ciał dzieci.*** *Zrobi wszystko, aby wykonać rozkaz czerwonych barbarzyńców. Chrońcie przed nią Wasze dzieci!*

fr. Jacek Dąbrowski, X, 2 stycznia

■ ***Sądzę, że niektóre dzieci bardziej niż spowiedzią stresują cię pójściem po raz pierwszy do szkoły, klasówką czy występem w szkolnym przedstawieniu. Już nie mówiąc o dentyście czy lekarzu. Stres jest częścią życia i nie da się go całkiem wyeliminować zakazując wszystkiego, co może nas stresować. (…) Jak ktoś się regularnie spowiada, to już go to nie stresuje.***

ks. Wojciech Węgrzyniak, Niedziela.pl, 3 stycznia

■ *Dzisiejszy świat promuje grzeszne zachowania, egoizm, hedonizm (…). Takim przykładem jest grzech aborcji.* ***Za chwilę przyjemności, zapomnienia czy tego, co ludzie nazywają „prawem do wolności", unicestwieniem płaci niewinne dziecko.***

bp Dariusz Zalewski, homilia Ełk, 29 grudnia

■ ***Czasem dziecko o pewnych rzeczach krępuje się rozmawiać z rodzicami. Łatwiej mu się otworzyć przed nauczycielem czy księdzem.*** *Zwłaszcza że przy spowiedzi ma sto procent pewności, że to, co powie, nie wyjdzie poza konfesjonał.*

dalej Węgrzyniak

■ *Liberalizm będzie akcentował prawa jednostki, wyznaczał granice dla ingerencji w jej wewnętrzne życie, będzie głosił, że uległość wobec czynnika zewnętrznego nie tylko poniża człowieka, ale czyni go niewolnikiem, stawiając na samorzutność jednostki i brak zobowiązań naturalnych, (…) tym bardziej wobec Pana Boga.* ***Liberalizm będzie zawsze siłą rzeczy ideologią demolującą każdą ludzką wspólnotę, od rodziny i społeczności lokalnej aż po społeczność narodową i państwową.***

prof. Paweł Skrzydlewski, Radio Maryja, 5 stycznia

KLECHA

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 176d1681c2

Za górami, za trójmorzami

Platforma miłości z miłośnikami Kremla.

Ciekawe, czy Trump pamięta, że jak był w 2017 r. w Warszawie, to jego spotkanie z międzynarodowym gremium wcale nie było fetowaniem wielkości USA, ale spędem krajów tworzących tzw. Trójmorze. Gdyby amerykańskiemu prezydentowi się zapomniało, to nic się nie stanie. Gorzej, gdyby o fakcie istnienia Trójmorza przypomniała sobie prezydentująca Europie Polska.

Albośmy to...

Bo czy ktoś wygrzebie z przepastnych czeluści mózgu, że jeszcze w 2015 r. Trójmorze zwało się koncepcją ABC? A jak Adriatyk. B – Bałtyk. C – Morze Czarne.

W 2016 r. w Dubrowniku doszło do pierwszego szczytu państw ABC. 6 z 12 krajów biorących w nim udział przysłało tam głowy państw. Wszystkie one podpisały się pod jednostronicową deklaracją współpracy. Uzgodniono też, że trzeba się jeszcze kiedyś spotkać. Andrzej Duda wziął tę kurtuazję dosłownie i skrzyknął całe towarzystwo do Wrocławia. No i przemianował inicjatywę z ABC na Trójmorze.

Przygotowania do spędu na Dolnym Śląsku szły w najlepsze, aż tu Trump ogłosił, że na chwilę wskoczy do Polski. Niestety jego plany przewidywały tylko pobyt w Warszawie. Duda wraz ze swoim otoczeniem wygłówkowali zatem, że Trumpowi można pokazać, jak ważny w regionie kraj nawiedza, i wcisnąć go na honorowego gościa szczytu Trójmorza.

Trump przystał na to, bo niby co miał zrobić. *Chcę pogratulować tej wspaniałej inicjatywy* – powiedział na warszawskim szczycie Trójmorza, bo coś powiedzieć musiał.

Andrzej Duda się ucieszył. Specjaliści od polityki zagranicznej też, bo mogli przez parę dni pokazywać się w mediach i sprzedawać prasie swoje przemyślenia. I, w zależności od stosunku do PiS, sprowadzały się one albo do opowiadania, jak to warszawski szczyt wkurzył Merkelową, bądź darcia łacha z prezydenckiej koncepcji stworzenia europejskiej drugiej siły.

Trójmorze w tym czasie tworzyły Polska, Czechy, Słowacja, Węgry, Litwa, Łotwa, Estonia, Chorwacja, Słowenia, Bułgaria, Rumunia, Austria. W 2023 r. dołączyła Grecja. Kraje te zajmują jedną trzecią terytorium UE i zamieszkuje je 112 mln unijnej ludności. Najistotniejsze jednak jest to, że ta niemal jedna trzecia Unii generuje nieco ponad 10 proc. unijnego PKB.

Trójmorze to miliony obywateli i same dynamicznie rozwijające się gospodarki – zaklinał rzeczywistość Duda i chyba nawet sam nie wierzył w to, co mówi.

O stosunku do Trójmorza wiele za to mówił skład szczytu. Czesi przysłali nań przewodniczącego Izby Poselskiej Jana Hamáčka. Austriacy zaś swojego ambasadora w Warszawie. Rządzący Słowacją premier Fico przysłał figuranta w randze prezydenta. Orbán zrobił dokładnie to samo.

Nasza współpraca ma trzy główne impulsy: modernizacyjny, integracyjny i zjednoczeniowy – rozwodził się w czasie szczytu prezydent Polski. I dodawał, że jednym z głównych celów Trójmorza jest poprawa infrastruktury i budowa korytarzy transportowych na szlaku północ–południe.

Sęk w tym, że kosztujące nader dużo drogi buduje się głównie tam, gdzie się to opłaca. A opłaca się robić je na trasach, którymi przyjeżdżają komponenty, a wyjeżdżają gotowe produkty.

I dlatego w Pribałtyce wystarczy jedna szosa z północy na południe, bo ich handel opiera się na relacjach gospodarczych z Niemcami i Skandynawią. I jak się można domyślać, handel ten załatwiają statki, a nie TIR-y.

Słowacy i Węgrzy handlują głównie z Zachodem. Widać to choćby po ichniejszych autostradach. Ciągną się one na linii wschód–zachód. Nie inaczej jest też w Rumunii i Bułgarii.

Droga donikąd

Te dwa kraje we wszystkich unijnych statystykach gospodarczych okupują ostatnie miejsca. Niebezzasadnie. Rumuńskie drogi krajowe, które za czasów Ceaușescu były znakomicie lepsze od peerelowskich, dziś wyglądają tak, jakby od trzech dekad żaden robotnik drogowy na nie nie zabłądził. Nasza zakopianka sprzed 25 lat mogłaby uchodzić tam za drogę szybkiego ruchu. Rumuńskie i bułgarskie wsie pełne są furmanek ciągniętych przez konie lub osły. Wypatrywanie w nich wodociągów, ścieżek rowerowych czy choćby chodników jest bezsensowne. Żeby było śmieszniej, za bułgarskie i rumuńskie bezdroża trzeba płacić. Dopiero winieta kosztująca kilkadziesiąt złotych pozwala korzystać nie tylko z niemal niewystępujących tam autostrad, ale nawet z wyasfaltowanych lub posypanych tłuczniem ścieżek.

Mimo że Bukareszt i Sofia są w Unii tylko trzy lata krócej niż my, śladów unijnych dotacji niemal się nie dostrzega.

Rys. TOMASZ WIATER

Pisowska propaganda mówiła, że środki unijne, które dostawała Polska, zostały rozkradzione. Jeśli tak, to skąd w tysiącach naszych Pipidów bogactwo infrastrukturalne, o którym chłopom w Rumunii i Bułgarii nawet się nie śni?

Kraje te są co prawda od 31 marca 2024 r. członkami strefy Schengen – ale tylko w portach morskich i na lotniskach. Dokumenty podróży nadal konieczne są na przejściach lądowych. I dlatego, aby do tych krajów wjechać czy z nich wyjechać, kwitnie się na granicach. W większości miast nie ma tabliczek z nazwami ulic. Do obiektów turystycznych zamiast – tak jak u nas i na Zachodzie – zajawiających je przez wiele kilometrów drogowskazów prowadzi tylko GPS.

W miejscowych hipermarketach to, co u nas. Dosłownie, z łaciatym masłem, mlekiem i śmietaną. Jak to tam dociera, zostaje słodką tajemnicą serbskich autostrad i lokalnych kolei żelaznych. Bo przecież nie dróg.

Najoględniej można powiedzieć, że bałkańscy sojusznicy polityczni i gospodarczy Dudy nie wydają się najlepsi. Rumunia to my 15 lat temu. Bułgaria zaś tylko 10. I z nimi prezydent chciał tworzyć przeciwwagę dla Niemiec i Francji? Z krajami, które od Zachodu są uzależnione bardziej nawet niż my? A Trójmorze według koncepcji PiS miało być ekonomiczną i polityczną przeciwwagą dla krajów „starej Unii".

Oczywiście wybrzmiewała niegdyś narracja, że Trójmorze to inicjatywa antyputinowska. Jeśli ktoś w to uwierzył, jest kretynem. Orbán, Fico i nawet Bułgarzy od lat smalili ekonomiczne cholewki do Moskwy. Dwaj pierwsi w życiu nie przystąpiliby do żadnej koalicji ekonomicznej wymierzonej w Kreml – w chwaleniu Putina nie przeszkodziło im nawet to, że jako agresor jest zbrodniarzem.

Jeszcze dziwniej – z punktu widzenia trójmorskiej koalicji antymerkelowskiej – wyglądali lata temu i wyglądają dziś nasi sojusznicy z zachodniej flanki Trójmorza.

Nowy Szlak Bursztynowy

Chorwacja i Słowenia są o parę godzin jazdy autostradą z Monachium. Obroty handlowe z Bundesrepubliką to ich być albo nie być. Tak samo jak niemieccy turyści. Czy w imię jakiejś panadudowej fanaberii mieli rozwalić to wszystko? A może miała i ma tak zrobić Austria, której gospodarka jest de facto częścią więdnącej gospodarki Republiki Federalnej? Czeska i nasza zresztą też.

Zachodnia noga Trójmorza nie wymagała nawet budowy infrastruktury drogowej. Bo ją miała. Na Istrię już od lat dojeżdża się z Warszawy w – góra – 10 godzin.

Odkryjemy nowy szlak bursztynowy dla Polski Wschodniej. *Budowa tej drogi to zwiększone szanse dla przedsiębiorców i ludzi, który żyją i pracują na ziemiach Polski Wschodniej* – mówił lata temu Morawiecki.

Ludzie, którzy zjedli zęby na ekonomice transportu, nie chcieli tego nawet komentować. Owszem, droga z południa na północ, równolegle do wschodniej granicy, była potrzebna. Tyle że dokładnie tak samo jak tysiące innych ekspresówek, bardziej uzasadnionych ekonomicznie. PiS nie spostrzegło, że szlaki wożenia produkcji spod granicy białoruskiej w 96 proc. nie wiodą w kierunku Rzeszowa, tylko na zachód. No i produkcja spod Przemyśla też w minimalnym ułamku leci w okolice Augustowa.

Rzecz jasna nikomu nic by się nie stało, gdyby z taką inwestycją poczekać przynajmniej z dekadę.

Ale Via Carpatia miała pokazywać, że łączymy się z Trójmorzem. Ekonomiści się z tego śmiali, bo partnerstwo handlowe z Bułgarią czy Rumunią jest u nas na poziomie promili tego, czym handlujemy z Czechami i Niemcami. Jeśli zaś chcemy połączyć chłonne rynki Łotwy i Siedmiogrodu, to też nie miało to sensu, bo handel „na tym kierunku" po prostu niemal nie występuje.

Każda tabelka z zestawieniem naszych największych partnerów gospodarczych pokazuje, że polskie szlaki transportowe winny gonić na zachód i południowy zachód. Bo to nam da pieniądze. Ale Via Carpatia powstaje i za parę lat będzie nią można śmigać od Litwy do Słowacji.

Tyle że gdyby ktoś chciał się nią dostać do Salonik, to nic z tego. Poza Polakami Via Carpatia nikogo nie interesuje. Roboty drogowe za granicą są dopiero w odległych planach. Tymczasem to właśnie Via Carpatia miała być sztandarowym przedsięwzięciem państw Trójmorza. Inicjatywy, która nie jest w stanie wydać z siebie czegoś tak prostego jak droga.

O ciepłą wodę w morzu

Kilka lat temu podczas szczytu Trójmorza w Warszawie Trump gardłował za tym przedsięwzięciem, licząc, że dzięki temu powstaną rurociągi gazowe, którymi popłynie amerykański odkroplony gaz. Dziś gazoporty hulają bez zachęty Trumpa. Załatwił to sankcjami na siebie Putin. Amerykański prezydent nie ma więc żadnego interesu we wspieraniu Trójmorza – chyba że mocno skonfliktuje się z krajami Zachodu Unii. A na to się nie zanosi, bo Stany muszą w najbliższym czasie zarzucić świat swoją ropą naftową. Muszą, bo zawsze korzystali z cudzych pól naftowych, zostawiając własne węglowodory na czarną godzinę. Wskutek odchodzenia wszystkich gospodarek od paliw kopalnych okazało się, że z czarnej godziny zrobiła się czarna dupa. Dlatego od kilkunastu lat USA eksportują to, co mają we własnych złożach, póki jeszcze jest na to popyt. Ropociągi i rafinerie kraje Trójmorza mają od lat. I nie muszą wspólnie – specjalnie dla amerykańskiej ropy – robić nowych. I to kolejny powód, żeby Trump o Trójmorzu nie pamiętał.

Po co zatem my, Polacy, wciąż mamy jeść trójmorską żabę? Po co wchodzić w alianse ekonomiczne z krajami, które własnych technologii nie mają? Po co drażnić Niemcy, które w natłoku własnych problemów ekonomicznych i cywilizacyjnych nawet tego nie zauważą?

Odpowiedź zarówno dekadę temu, jak i dziś jest tylko jedna. Taka, że latem woda w Bałtyku rzadko ma więcej niż 20 stopni. A w Morzu Czarnym i Adriatyku jej temperatura oscyluje w okolicach 25 stopni.

TOMASZ BOROWIECKI

Aktywiści miejscy uświadomili już każdemu, co to jest pył zawieszony, dioksyny i dwutlenek azotu. Dzięki nim wiemy nawet, czym różni się PM10 od PM2,5 oraz że smog zabija 45 tys. Polek i Polaków rocznie. Nikt natomiast – z wyjątkiem biologów i miłośników broni biologicznej – nie wie, że niemal dokładnie tyle samo zgonów rocznie powodują *Aspergillus flavus*, *Stachybotrys chartarum* i ich krewniacy. Nie mają też o tym pojęcia hodowcy tych pleśni – czyli najbiedniejsi Polacy. No i ci bogatsi, którzy tych hodowców postanowili spacyfikować.

Pod tymi łacińskimi nazwami kryją się dwie spośród 100 tys. gatunków pleśni. Mające to do siebie, że do dziś są potajemnie składowane w wojskowych arsenałach jako ewentualny środek ludobójczy.

Hodowcy trucizny

Pierwszy z wymienionych grzybków – bo wszak pleśnie to grzyby – wytwarza mykotoksynę o nazwie aflatoksyna B, czynnik rakotwórczy uchodzący za najbardziej toksyczny naturalny związek występujący na naszej planecie. W tym celu musi być go dużo. Jeśli jednak aspergillusa wyhodujemy w domu na ścianie, to nim po paru latach dotknie nas rak wątroby, najpierw zaobserwujemy przewlekłe zapalenie zatok i rogówki, infekcje skóry i ran, a także zapalenie kości oraz szpiku po drobnym urazie lub szczepieniu. Chyba że jesteśmy po przeszczepie albo z innych powodów mamy osłabioną odporność – wtedy wywołana pleśnią aspergiloza zabije nas w ciągu paru tygodni.

Aspergillusów, które najczęściej można spotkać w domach, jest zresztą kilka. Te inne zajmują się hamowaniem aktywności układu odpornościowego, wywierają wpływ na mózg, są toksyczne dla nerek i wątroby, wywołują wady wrodzone u poczętych, a coraz większa liczna naukowców wiąże je z rakiem płuc.

Stachybotrys chartarum to czarna pleśń, której zarodniki są lekkie i unoszą się w powietrzu, czepiając się cząstek kurzu. Wdychając grzyba, wpuszczamy do organizmu zarazę przerywającą w nim syntezę białek. Z początku więc traci się kontrolę nad mięśniami. Pojawiają się zawroty głowy, mdłości, wymioty. Potem wyskakuje piekący stan zapalny skóry. Następnie zaś sraczka, dreszcze, gorączka i zamglenie umysłu. Pod koniec pojawiają się zaniki pamięci. Nie wspominając już o takiej błahostce jak zanik węchu, spowodowany zjadaniem przez pleśń neuronów węchowych. Efektem następujących później zmian przepływu krwi i aktywności elektrycznej w mózgu, jak również rozregulowania emocji oraz problemów z koncentracją, pamięcią i równowagą, są już tylko myśli samobójcze. I ich realizacja.

Naukowcy obczaili, że szkodliwy dla człowieka jest co czwarty gatunek pleśni. Lista wywoływanych nimi niemi-

Życie w dobrobycie

● Radosław Sikorski podzielił się na X informacją, że przyszedł mu przelew od pracodawcy, czyli z MSZ. Wynagrodzenie ministra za grudzień wyniosło 9892,24 zł. To chyba – zdaniem Sikorskiego – niedużo, bo do informacji dodał jeszcze, że nie dostaje z MSZ kilometrówek, premii ani dodatków. Nie ma też mieszkania służbowego ani diet poselskich, bo nie jest parlamentarzystą. Na koniec wpisu minister wykazał, jakim poświęceniem jest dla niego kierowanie polską dyplomacją, pisząc: *Zrezygnowałem z funkcji europosła i nie przyjąłem propozycji zostania komisarzem UE*. Pół roku wcześniej Sikorski też narzekał na zarobki. Ale jego czerwcowy przelew opiewał na 13 398,07 zł. Kto zatem obniżył Sikorskiemu zarobki o niemal 3,5 tys. zł? Próg podatkowy otóż, w osobie kolegi z rządu – ministra finansów Andrzeja Domańskiego. Zresztą do tego Sikorski winien być przyzwyczajony. Ile razy bowiem rządzi Platforma, to progi po-

eprasa.pl 176d1681c2

Ciepło jest towarem

Za luksus siedzenia w domu w kożuchu trzeba będzie płacić

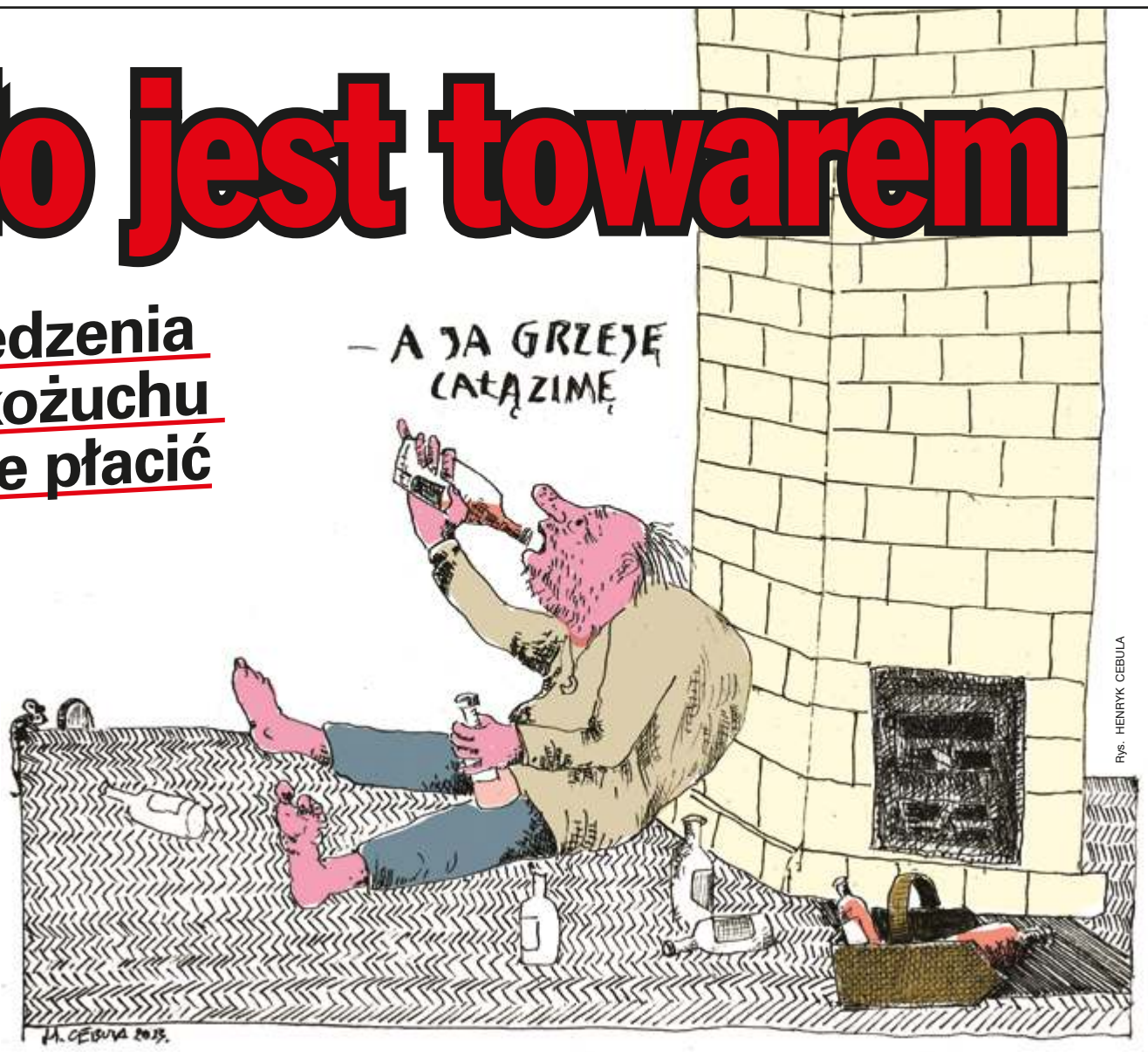

Rys. HENRYK CEBULA

łych skutków zdrowotnych jest długa. Począwszy od wywoływania alergii, przez odpowiedzialność za zapalenie zatok, nieżyt nosa czy zapalenia krtani, choroby układu kostnego, bezsenność, mdłości i zaburzenia żołądkowo-jelitowe po problemy ze wzrokiem, choroby psychiczne czy poważne zakłócenia rozwoju płodu. No i parę nowotworów przy okazji.

Coraz więcej badań pokazuje, że domowe grzyby są powodem chronicznego zmęczenia, problemów poznawczych, utraty pamięci i innych zaburzeń neuropsychiatrycznych. Pediatrzy w pleśniach upatrują też przyczyn zahamowania wzrostu u dzieci oraz śmiertelnego w skutkach ostrego krwotoku płucnego u niemowląt. Zatrucie domowymi grzybami stoi też za częścią ADHD u dzieci czy innymi występującymi u nich zaburzeniami obsesyjno-kompulsyjnymi. Naukowcy łączą też obecność toksycznych pleśni z zespołem nagłego zgonu niemowląt.

Wiele prac przypisuje pleśniom wywołanie tocznia – dość częstej choroby autoimmunologicznej.

Nauka dowodzi, że co czwarty człowiek jest genetycznie podatny na choroby związane z pleśnią. Dlatego nie każdy mieszkaniec zagrzybionego mieszkania musi mieć objawy. Najgorsze jednak dla medyków jest to, że bardzo często symptomy zatrucia toksynami pleśni są dla służby zdrowia nie do odgadnięcia. Wyglądają tak samo jak przy boreliozie, zatruciu metalami ciężkimi, alergii, a nawet przeziębieniu i grypie. Ba, infekcje wywołane grzybami wywołują choroby, na których skupia się cała uwaga lekarza, podczas gdy pierwotnej przyczyny tych schorzeń medyk nawet nie podejrzewa.

Dlatego polscy znawcy wpływu pleśni na zdrowie i życie szacują najdelikatniej, że mykotoksyny są u nas przyczyną co dziesiątego zgonu.

Ekonomia z grzybnią

Do polskich mieszkań grzyb wkroczył na masową skalę wraz z nastaniem kapitalizmu. Za komuny węgiel był tani, a okna mocno nieszczelne. Dzięki czemu wilgoci było niedużo. Dogrzane pomieszczenia wyprowadzały parę wodną dziurami i wentylacją na zewnątrz.

Potem zrobiło się najpierw ekonomicznie, a potem ekologicznie. Wzrost cen węgla i gazu najpierw uderzył w blokowiska. Kiedyś za centralne ogrzewanie płaciło się w nich ryczałtowo. Wyliczało się bowiem kubaturę mieszkania i mnożyło przez oficjalny wskaźnik dogrzania. Ale ponieważ jedni non stop wietrzyli, a inni nie, to pojawił się postulat indywidualnego rozliczania ciepła, bo nikt nie chciał płacić za ogrzewających planetę sąsiadów. Na grzejnikach zarządcy bloków poprzykręcali podzielniki i centralne ogrzewanie stało się kosztowniejsze niż zboże. Ubożsi przykręcali kaloryfery i uczyli się żyć w chłodzie, chodząc zimą po chałupie w grubych swetrach. Mnóstwo emerytów całkiem pozakręcało grzejniki.

Na tym etapie grzyb wszedł jednak do nielicznych jeszcze mieszkań. Zmieniło się to wraz z wynalazkiem szczelnych okien plastikowych. Spółdzielnie mieszkaniowe jęły je masowo wymieniać. Biedni lokatorzy się cieszyli, bo sądzili, że nieuciekające szczelinami stolarki ciepło pozwoli im chodzić bez swetrów. Na dodatek ruszyła też wszędzie akcja okładania wielkiej płyty styropianem. Mieszkania stały się więc energooszczędne.

W elektrociepłowniach spadło zapotrzebowanie na energię. Musiały więc to sobie odbić wzrostem cen. Mieszkańcy blokowisk jęli jeszcze bardziej przykręcać kaloryfery. Dokładnie to samo robili wszyscy, którzy kupili sobie nowe wypasione deweloperskie mieszkania na kredyt hipoteczny.

W niemal połowie polskich mieszkań zimą temperatura w pomieszczeniach nie przekraczała zatem 20 stopni Celsjusza. To za mało, żeby osadzona na i w ścianach woda odparowywała. A nawet gdyby jej się udało, to i tak nie wyleciała na zewnątrz, bo uniemożliwiały jej to szczelne okna i pozaklejane wywiewy.

W spółdzielczych i wspólnotowych polskich blokach i kamienicach w ostatnim ćwierćwieczu powstały zatem idealne warunki do rozwoju pleśni.

Tak samo miały i zasoby komunalne. A nawet gorzej, bo w wielu z nich miastom nie udało się zamontować nawet grzejników. W przebogatej ponoć Warszawie do dziś jest kilkanaście tysięcy mieszkań komunalnych bez centralnego ogrzewania.

Do kilku z nich weszli naukowcy i wykryli osiem gatunków grzybów. Stężenie zarodników w większości przekraczało dopuszczalne stężenie dla osób nieuczulonych; średnio o jedną czwartą. Dla badaczy widzących czarne od grzyba ściany nie było to niczym dziwnym, zwłaszcza że termometry w pomieszczeniach pokazywały 12 stopni. Krótki wywiad medyczny też wiele mówił. Większość mieszkańców badanych mieszkań miała przewlekłe i bardzo niefajne problemy skórno-oddechowe.

Opłata za posiadanie kaloryfera

W blokach pomieszkuje czterdzieści parę procent polskiej populacji. Większość z nas mieszka w domach jednorodzinnych. One zaś z problemem pleśni zetknęły się znacznie później.

W małych miasteczkach i na wsiach domowy grzyb zagościł dopiero przy okazji walki z paleniem śmieciami. Najtańszy węgiel zniknął ze składów, bo okazał się pozaklasowy – i cena ogrzania wiejskiej chałupy wzrosła niemal z dnia na dzień o połowę. Dla mnóstwa ludzi było to równoznaczne z marznięciem – nie mogli już ratować się paleniem tego, czym palili od zawsze, czyli śmieci, plastiku, starych mebli. Nikt z nich nie rozumiał, dlaczego teraz plastikowe butelki, które dawały tyle ciepła, trzeba marnować na śmietniku, tak jak stare, świetnie się palące gumiaki. Każdy mieszkaniec wsi czy miasteczka wiedział jednak, że jak coś takiego wrzuci do pieca, to sąsiad zadba o to, żeby za chwilę przyjechała mu do chałupy policja.

Ekolodzy od smogu się ucieszyli, a lekarze z mniejszych miejscowości wręcz przeciwnie – zaobserwowali wzrost alergii, chorób skóry i objawów oskrzelowo-płucnych. Wskaźniki astmy skoczyły niektórym nawet dwukrotnie.

Epidemiolodzy produkowali kolejne raporty mówiące o wpływie niedogrzania mieszkań na wzrost chorób wywołanych grzybem. Wzrost śmiertelności z tego powodu – również. W końcu władza ich posłuchała. Ale nie z powodu chorób, lecz dlatego, że ludzie masowo pasożytowali cieplnie. Czyli zakręcali grzejniki i korzystali z ciepła ścian, podłóg i sufitów ogrzewanych przez ich sąsiadów. Ci się wściekali, że mają bardzo wysokie rachunki za CO i ruszyli do sądów.

W 2021 r. sprawa taka dotarła do Sądu Najwyższego.

Mieszkaniec Łodzi, ogrzewający jedynie kuchnię i zakręcający grzejniki w pozostałych pomieszczeniach, został uznany za winnego korzystania z cudzego ciepła. Zdaniem Sądu Najwyższego osobom, które celowo wychładzają mieszkania, należy się mandat w wysokości 500 zł.

Nowoczesne podzielniki na grzejnikach pozwalają na monitoring temperatury grzejników. Zarządcy budynków wielorodzinnych nie wahają się więc ich używać. Głośno było o sprawie, gdzie Gdyńska Spółdzielnia Mieszkaniowa „Posejdon” nałożyła na lokatorkę karę finansową za to, że ta zakręcała kaloryfery na czas wyjścia do pracy.

Parę lat temu PiS postanowiło przywrócić stare dobre peerelowskie zasady. Pojawiło się kolejne rozporządzenie. Tym razem ministerstwa klimatu. Określa ono maksymalne i minimalne opłaty za ciepło w przeliczeniu na metr kwadratowy mieszkania. I teraz lokator musi płacić, nawet jeśli podzielniki wskażą zero. Wszak prawo stanowi, że wszyscy mieszkańcy powinni uczestniczyć w kosztach ogrzewania, niezależnie od tego, czy grzejniki są używane, czy też nie.

W walce z pleśnią oberwali więc najbiedniejsi mieszkańcy miast, którzy dotąd ratowali się zakręcaniem grzejników. Przepisy te nic nie zrobiły grzybom z ubogich chat wiejskich, bo te pod żadne spółdzielnie nie podlegają. Ciepło okazało się nie prawem, lecz towarem, a za walkę ze smogiem, pleśnią i zmianami klimatycznymi zapłacili zdrowiem i życiem najbiedniejsi.

TADEUSZ JASIŃSKI

---

datkowe ani drgną. Sikorski mógłby mieć o 3,5 tys. zł więcej, gdyby rząd, którego jest członkiem, zdecydował się podnieść kwotę wolną od podatku do 60 tys. zł. Przed wyborami KO zapowiadała, że jest w stanie wprowadzić takie zmiany w ciągu 100 dni. Teraz Andrzej Domański twierdzi, że zmiany kwoty wolnej będą w tej kadencji.

● Sikorskiemu nikt nie umniejszyłby wynagrodzenia, gdyby minister zarabiał tyle, ile wynosi płaca minimalna. Ta zaś od 1 stycznia poszła w górę, i teraz wynosi 4666 zł brutto. Do końca grudnia było to 4300 zł, co dawało na rękę prawie 3262 zł. Znaczy trzy razy mniej, niż dostał szef MSZ po wejściu w wyższy próg podatkowy. Teraz płaca minimalna na rękę to 3511 zł. Raptem o 249 zł więcej. Gdyby rząd wprowadził zapowiadaną kwotę wolną, to ludzie zarabiający minimum krajowe, czyli jakieś 3,2 mln osób, nie płaciliby podatku PIT, bo zwolnione z niego byłyby wszystkie pensje mniejsze niż 5 tys. zł brutto. Najmniej zarabiający mieliby więc parę stów więcej, bez żadnej łaski podnoszenia płacy minimalnej.

● Sikorski dostanie jednak w tym roku pięcioprocentową podwyżkę wynagrodzenia. Czyli na rękę ponad 650 zł miesięcznie. Minister będzie więc beneficjentem rządowej polityki fiskalno-dochodowej tak jak zarabiający minimum krajowe oraz samozatrudnieni zwani przedsiębiorcami. Ci ostatni będą płacili mniejsze składki. Dzięki temu niemal 935 tys. Polaków zostanie w portfelu średnio o 105 zł miesięcznie więcej.

● Istnieje szansa, że Sikorski jeszcze bardziej zbliży się do standardowych zarobków, bo posadę może wszak stracić z dnia na dzień. Wtedy doszlusuje do pracowników Firmy SGL Battery Solutions Polska, która dotychczas produkowała coś, co ponoć w dzisiejszej gospodarce jest bardzo potrzebne – komponenty do baterii elektrycznych wykorzystywane w samochodach i telefonach. Tymczasem zakład ogłosił zakończenie produkcji w Raciborzu, gdzie zatrudnionych jest 26 osób, oraz w Nowym Sączu, gdzie obecnie pracuje sześć osób. Produkcja ma zostać zakończona do końca pierwszego kwartału 2025 r. Zwalniani pracownicy otrzymają odprawy finansowe. Równowartość czteromiesięcznego wynagrodzenia dostaną ci, którzy przepracowali w tej firmie co najmniej 20 lat. Dodatkowo każdy pracownik otrzyma 5 tys. zł na przekwalifikowanie i szkolenia. A jak któryś ma dzieci poniżej 18. roku życia, to na każdą latorośl otrzyma po 4,3 tys. zł. Gdyby te benefity zbić do kupy, to wyjdzie tego parę razy mniej, niż w ramach odprawy dostałby Sikorski po zdymisjonowaniu.

● W wolnorynkowej demokracji nic nie jest pewne. Spółka Redan, która powstała w 1995 r. i od lat jest obecna na polskiej giełdzie, ogłasza plajtę. Wierzyciele złożyli wniosek o ogłoszenie upadłości producenta znanego z marek Top Secret i Textilmarket. 30 grudnia nadzwyczajne walne zgromadzenie akcjonariuszy podjęło uchwałę w sprawie rozwiązania firmy oraz otwarcia jej likwidacji. Akcje spółki kończyły 2024 r. z wyceną na poziomie 0,90 zł za sztukę, choć jeszcze na początku roku notowania sięgały 1 zł. W 2014 r. Redan miał ponad 500 sklepów, zatrudniał ponad 3 tys. osób i generował ponad 500 mln zł obrotu. Wystarczyła dekada, by bilans sporządzony na koniec września pokazał, że zobowiązania spółki to 60 mln 524 tys. zł, jej aktywa zaś to ledwie 42 mln 445 tys. zł.

● Zwalniani pracownicy nie powinni jednak narzekać. Powinni pojechać na Podhale. Tamtejsza branża turystyczna cierpi na olbrzymie braki kadrowe. Od zaraz mogłoby tam znaleźć robotę nawet 3–4 tys. osób. Chętnych jednak brakuje. Mimo promocji w mediach pokazującej, że na pracowników czekają wysokie pensje, a także darmowe mieszkania i wyżywienie. Ponoć para z Ukrainy, pracując w polskich górach, zarabia razem 17 tys. zł miesięcznie i nie wydaje nawet złotówki na utrzymanie. A kelnerka opowiada mediom, że zarabia tyle, że w ciągu dwóch lat wybuduje, wykończy i wyposaży duży dom i nie weźmie na niego ani złotówki kredytu. Potwierdzałyby to ogłoszenia o pracę, w których oferowano uczniom i studentom w okresie 26.12.2024–2.01.2025 wynagrodzenie 2950 zł na rękę. Dla turystów znaczy to tylko tyle, że w Zakopanem można nie zostawiać napiwków.

● Wrocław nie leży na Podhalu, ale ma ofertę dla tych, którzy jako kelnerzy zarabiają krocie. Tamtejsze PKP wystawiły na sprzedaż mieszkania, których nikt od przewoźnika kolejowego nie wykupił na własność. Media od razu wyskoczyły z tytułami, że chałupy chodzą po 8 tys. zł. Niby tak, ale nie do końca. Żeby wiedzieć, o co chodzi, zacznijmy od tego, że metr kwadratowy mieszkania we Wrocławiu kosztuje średnio 13,7 tys. zł. Przy tej kwocie 8 tys. zł to cena świetna, ale... jeżeli za 43-metrowe mieszkanie cena wywoławcza to 360 tys. zł, czyli 8300 za mkw., to można być pewnym, że na przetargu osiągnie wartość zbliżoną do rynkowej. Tym bardziej mieszkanie o powierzchni 47 mkw. z ceną wywoławczą 430 tys. zł – 9100 mkw. czy 72-metrowe mieszkanie za 9 tys. za mkw. Średnią okazją może być też staranie się o 92-metrowe mieszkanie po częściowym pożarze za cenę wywoławczą 600 tys. zł. Po co o tym wszystkim piszę? Ano po to, żeby jeszcze raz przekonać każdego, że dziś prawdziwych okazji już nie ma.

● Chyba że się jest Wizz Airem. Wtedy tylko za to, że się łaskawie wyrazi chęć startowania i lądowania we Wrocławiu, dostanie się 12 mln zł. Najzabawniejsze, że Wizz Air dostanie tę kasę od instytucji, której powinien płacić, i to dużo. Od Portu Lotniczego Wrocław mianowicie. A to dlatego, że każdy port żyje z tzw. opłat lotniskowych wnoszonych przez startujące i lądujące tam samoloty. Oficjalnie 12 mln zł węgierski przewoźnik weźmie za to, że przez 13 miesięcy będzie reklamował Wrocław w internecie, social mediach i w swoich samolotach poprzez ulotki i magazyny. Każdy, kto zna branżę lotniczą, wie, że żeby linie lotnicze korzystały z małych lotnisk, muszą one dostać miliony od samorządów. Tymczasem Wrocław wcale małym lotniskiem nie jest, a i tak haracz płacić musi. Ale ponieważ pracodawca Sikorskiego, czyli rząd, likwiduje CBA, to sprawą nie będzie kogo zainteresować.

TTJ

eprasa.pl 176d1681c2

Arka Envera

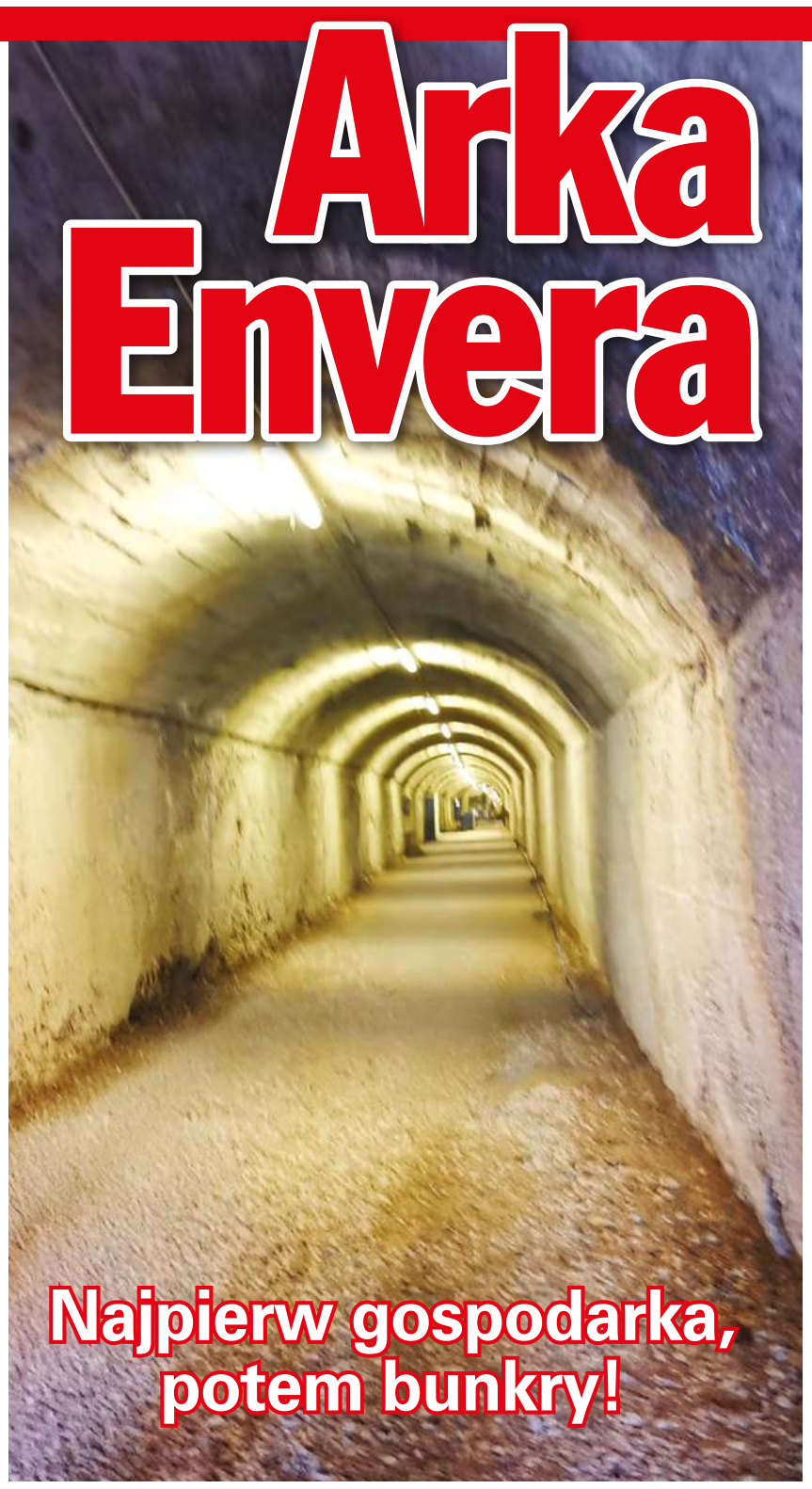

Najpierw gospodarka, potem bunkry!

Zdjęcia PIOTR GADZINOWSKI

Do Tirany wróciłem po 30 latach. W latach 90. stolica inaugurującej budowę kapitalizmu Albanii przypominała prowincjonalne miasto z orientalnym odcieniem. Senne centrum otoczone społecznością nadal żyjącą po wiejsku. Dziś Tirana to miasto zabudowane wieżowcami, zakorkowane samochodami. Reprezentacyjne i chaotyczne.

750 tys. grzybków

Wtedy główną atrakcją turystyczną Albanii były wszechobecne betonowe bunkry. Witały nas już podczas lądowania na lotnisku w Tiranie. Z góry przypominały grzybki. Na ziemi te mniejsze i najliczniejsze okazały się stanowiskami ogniowymi dla kilku strzelców. Większe przeznaczano do ochrony obsługi armaty.

Od 1960 r. wybudowano ich tam 750 tys. Mniejsze były przy każdym ważnym budynku, na każdej plaży. Większe strzegły każdego znaczącego skrzyżowania dróg. W miejscach szczególnie strategicznych uzupełniano je polami wbitych w ziemie metalowych pali. Aby nadziewały się na nie wrogie zastępy lądujących spadochroniarzy.

Bunkry i pale były taką ówczesną albańską Tarczą Wschód. Miały strzec suwerenności, odstraszyć zewnętrznych wrogów, zniechęcić do napadu. Wrogów wewnętrznych rządząca Albanią ekipa Envera Hodży skutecznie eliminowała przez ponad 40 lat. Aż do śmierci wodza.

Niepotrzebne potem metalowe pale rozkradziono szybko. Z bunkrami nie poszło tak łatwo. Demontaż solidnie betonowanych konstrukcji okazywał się trudny i kosztowny. Dlatego te większe próbowano zaadaptować na przydrożne kafejki. Mniejsze uzupełniały deficyt publicznych toalet. Bywały miejscami bezpiecznego seksu. Ale trzydzieści lat minęło i bunkry przestały być wszechobecne w albańskim pejzażu.

Jednak wraz z rozwojem ruchu turystycznego do Albanii stały się jej ikonograficznym znakiem. Taką albańska pandą. Dziś każda trasa wycieczkowa musi zahaczyć o istniejący jeszcze bunkier. Wyczyszczony, pielęgnowany jak u nas cmentarny nagrobek.

Wizerunki bunkrów znajdziemy w każdym sklepie z turystycznymi pamiątkami. Na koszulkach, torbach, popielniczkach, kubkach i przelicznych lodówkowych magnesach. Można kupić model bunkra do samodzielnego złożenia albo gotowy. Betonowy, ceramiczny, metalowy, a dla proekologów drewniany. Łatwy w recyklingu.

Dziesięć lat temu ujawniono kilka specjalnych tajnych bunkrów. Dwa największe są w Tiranie. Mniejszy znajduje się w centrum, w podziemiach przy gmachu dawnego ministerstwa spraw wewnętrznych. Drugi, gigantyczny, jest obok stacji kolejki na górę Dajti. Też turystycznej atrakcji. Oba bunkry otrzymały handlową nazwę BUNK'ART.

Beton VIP

Budowa największego cywilnego albańskiego bunkra rozpoczęła się we wrześniu 1972 r. Po sześciu latach był podłączony do prądu, wody, miał własny system wentylacji. Otwarcie nastąpiło 25 czerwca 1978 r. Na imprezie obecny był główny najemca, przywódca Albanii Enver Hodża.

Dziś bunkier nadal imponuje. Ma pięć pięter głęboko wyrytych w skalnych podziemiach. Gwarantuje mu to odporność nawet w czasie ataku bomb jądrowych. Posiada 106 różnych pomieszczeń rozlokowanych na 2685 mkw. podziemnej powierzchni. Turyści mogą zobaczyć, jak wyglądały prywatne pokoje Hodży i jego gabinet do pracy. A także odtworzone miejsca do życia i pracy dla ówczesnej elity Albanii. Politycznej, ale też naukowej i kulturalnej.

Bo ten bunkier miał być taką arką ojca narodu Envera. W razie atomowego potopu miał zaprosić do niego najlepszych Albańczyków, aby po potopie rozpoczęli nowe życie. Na najlepszej, bo albańskiej ziemi.

Dziś do arki Envera Hodży wejść może każdy turysta za stosowną opłatą. Zobaczyć skromną sypialnię dyktatora i wystawę poświęconą najnowszej historii Albanii. Od czasów II wojny światowej i walki z faszystowskimi okupantami aż po upadek ekipy Hodży.

Turystów z Polski zachwyca odtworzony tam bieda sklepik. Dla młodszych to argument na słuszność upadku „komunizmu", dla starszych sentymentalny obrazek z dzieciństwa. Polacy dziwią się też, że odnajdują na wystawie wiele pozytywów albańskiego „komunizmu". Elektryfikację kraju, likwidację powszechnego analfabetyzmu, bezpłatne szkolnictwo. I przede wszystkim emancypację kobiet.

Nic dziwnego, że według niedawnego sondażu przeprowadzonego przez badaczy z OBWE, aż 45 proc. Albańczyków nadal postrzega Envera Hodżę jako wybitnego polityka i dobrego gospodarza. 42 proc. uważa go za dyktatora i mordercę. Większość badanych zgadza się ze stwierdzeniem, że „komunizm" był ideologią słuszną w teorii, ale źle zrealizowaną w praktyce.

Mnie urzekła tam wielka podziemna sala kinowa. Nie gimnastyczna, nie musztrowa, lecz kinowa. Jak widać, architekci tej arki uznali, że *kino jest najważniejszą ze sztuk*. I podczas kwarantanny po atomowym potopie elity albańskie powinny spędzać czas na obcowaniu z X muzą.

Najbardziej oczytany przywódca

Enver Hodża ma w Polsce etykietę prymitywnego dyktatora, ortodoksyjnego komunistycznego betonu. W rzeczywistości skończył elitarne francuskie liceum w Korczy. Studiował we Francji na Uniwersytecie Montpellier i na Sorbonie. Mówił biegle po francusku, znał też włoski, serbski, angielski i rosyjski. Bywa przez historyków określany jako *najbardziej oczytany przywódca Europy Wschodniej* swojego czasu.

Działalność polityczną zaczynał jako lider demokratycznych studentów. W Brukseli pracował w albańskim konsulacie i potajemnie komunizował. Potem uczył francuskiego w albańskim liceum.

W czasie II wojny okazał się zdolnym organizatorem i politykiem. Zjednoczył wszystkich niepodległościowców, niezależnie od ich poglądów politycznych.

Pozyskał chłopów dla stworzenia partyzantki wspieranej przez brytyjską SIS i przez ZSRR. Jesienią 1944 r. 70-tysięczna Armia Narodowo-Wyzwoleńcza samodzielnie wyparła z Albanii niemieckich i włoskich okupantów. Udało jej się to, o czym marzyły polska Armia Krajowa i rząd londyński.

W 1946 r. Albania została Ludową Republika, a Enver Hodża de facto głową państwa. Wielce biednego już przed wojną, dodatkowo zrujnowanego wojennymi działaniami.

Hodża chciał uprzemysłowienia Albanii. Państwa faktycznie bez kapitału i tradycji przemysłowej. Przez całe życie szukał sojusznika, który da technologie i pieniądze na to uprzemysłowienie. Modernizację gospodarki. Zawierał sojusze i zrywał je, kiedy nie dostawał oczekiwanej pomocy.

Pokłócił się z Tito, kiedy wyznaczył on Albanii rolę zaplecza rolniczego Jugosławii. Potem z ZSRR, kiedy ekipa Chruszczowa ograniczyła pomoc gospodarczą, uznając Albanię za drugorzędnego sojusznika.

Postawił na wsparcie Chin. Do czasu, kiedy Chiny dogadały się z USA i uznały polityczne wsparcie Albanii za niepotrzebne. To był ostatni albański exit. Nie było już państwa pragnącego budować „albański komunizm".

Ekipie Hodży pozostała autarkiczna gospodarka uzasadniania mitem suwerennej, samowystarczalnej Albanii.

Albania dbała o minimalny dług zagraniczny. W 1983 r. importowała towary wartości 280 mln dol. – i eksportowała towary wartości 290 mln dol. Taka izolacja przyniosła jej zacofanie technologiczne i niski standard życia.

Wysokie były jedynie duma narodowa z osiągniętej pełnej suwerenności i przyrost naturalny. Wielodzietna kobieta otrzymywała order Bohaterki Matki oraz nagrodę pieniężną. Aborcja była w gestii powiatowych komisji lekarskich, czyli zwykle niedostępna.

Pierwszego zawału serca Hodża doznał już w 1973 r. Pełni zdrowia nie odzyskał. Cierpiał na cukrzycę, niedokrwienie mózgu. W końcówce życia jeździł na wózku inwalidzkim.

Zaczynał jako demokrata, niepodległościowiec. Potem bohater wojny partyzanckiej, sprytny polityk, reformator. Kończył jako zamordysta, strachliwy paranoik, manipulowany przez klan rodzinny i polityczny.

Zmarł w 1985 r. Jego następca Ramiz Alia stracił władzę po fali protestów w 1990 r. Hodża stracił wtedy jedynie wystawione mu pomniki i prestiżowy nagrobek.

Kapitalizm bez kapitału

Hodża umarł, ale znane mu problemy albańskiej gospodarki pozostały. Dziś po „albańskim komunizmie" panuje tam „albański kapitalizm". Zwany też „wolnoalbanką". Gospodarka nadal oparta jest na rolnictwie, wydobyciu surowców – ale też nowej, gwałtownie rozwijającej się turystyce. Masowo powstają nowe wielkie hotele, wypasione pensjonaty, restauracje. Budowane szybko, bo bez żmudnych pozwoleń, planów zagospodarowania, zgód architektonicznych. Buduje się tam, jak się chce i gdzie się chce. Bo tamtejsze władze idą takim inwestorom na rękę.

Oficjalnie te wielkie budowy albańskiego kapitalizmu finansowane są z oszczędności albańskich migrantów zarobkowych. Ale nietrudno zauważyć, że albańskiemu kierowcy, kelnerowi, czy nawet piłkarzowi trudno byłoby zarobić, nawet w Szwajcarii, na kompleks hotelowo-apartamentowy z aquaparkiem. Zapewne to w miarę rozwoju albańskiej mafii następuje ten wzrost infrastruktury turystycznej. Kiedyś Hodża szukał wsparcia w Belgradzie, Moskwie, Pekinie. Dziś wsparcie idzie z Ekwadoru, Kolumbii. Zacofanego ponoć globalnego Południa.

Tak czy siak – trzeba zauważyć ten tak ceniony w Polsce „patriotyzm gospodarczy" owych inwestorów. Nie budują hoteli w Monte Carlo czy Las Vegas. Zarabiają za granicą, ale zyski inwestują w ojczystym kraju.

Trzeba też odnotować ich zmysł ekonomiczny. Pomimo poczucia zagrożenia w trakcie codziennej pracy więcej inwestują w nowoczesne technologie, laboratoria, sieci przesyłowe niż tradycyjnie rozumiane bunkry. Inaczej niż kiedyś albańskie, a teraz polskie elity władzy.

W XIX w. brytyjskie kompanie zdobywały swe pierwsze miliardy, sprzedając opium w Chinach. Dziś albańskie kompanie sprzedają podobne produkty w USA i Unii Europejskiej. Taka sprawiedliwość dziejowa?

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl 176d1681c2

Smutek brytyjskiej lewicy

Nie kibicujcie Starmerowi w wojnie z Muskiem

Ktoś ostatnio odnotował, że Elon Musk – ze swoim absurdalnym wpływem na losy świata, kuriozalnym infantylizmem i szczytową nieodpowiedzialnością za słowa i czyny – jest tak rozpaczliwym wcieleniem zła, że przypomina szwarccharakter z komiksu. Albo – dodałabym od siebie – ze starego filmu z Jamesem Bondem. Wiecie: jednookiego szaleńca w czarnych rękawiczkach, knującego, jak przejąć władzę nad światem w bunkrze w środku wulkanu, z kotem na kolanach. Nietrudno zatem ulec pokusie, żeby w jego dziwacznej wojnie z Keirem Starmerem stanąć jednoznacznie po stronie brytyjskiego premiera i przywódcy Labour Party. Apeluję: nie stawajmy. Te indywidua są siebie warte.

Oberprokurator

Dla porządku: zarzuty, które Musk stawia Starmerowi, dotyczące chronienia gangów tzw. groomerów – czyli facetów, którzy uwodzili nieletnie, żeby wciągać je w prostytucję – są zapewne nieprawdziwe. Jako szef Koronnej Służby Prokuratorskiej – taki prokurator krajowy – Starmer akurat zrobił sporo dla zmiany kultury pracy prokuratury w sprawach związanych z wykorzystywaniem seksualnym. Ale sam fakt, że tym szefem został, rzuca na niego niejaki cień. I to nie jedyny.

Przeczytałam ostatnio (no dobra: przeczytałam uszami, ale trwało to 14 godzin) biografię Keira Starmera autorstwa Toma Baldwina – dziennikarza, który był w Labour Party dyrektorem ds. komunikacji i strategii. We wstępie książki stoi, że miała ona być autobiografią Starmera, ale lider był tak zajęty, że nie miał czasu jej skończyć, więc Baldwin wziął jego notatki i przerobił na „biografię nieautoryzowaną". Autor dodaje, że Starmera *lubi* i mu *ufa*. Inaczej mówiąc, trudno uznać go za obiektywnego krytycznego komentatora – a mimo tego z kart książki wyziera chuj rzadkiej wody.

Zacznijmy od wspomnianej wyżej Koronnej Służby Prokuratorskiej. Swoją karierę zawodową Keir Starmer zaczynał jako adwokat specjalizujący się w prawach człowieka – zajęcie bezsprzecznie godne lewicowego prawnika. Atoli po dwóch dekadach bronienia ludzi nagle zmienił stronę i zaczął ich wsadzać. Do tego, po paru latach na stołku, znalazł sobie nową krucjatę, zgoła inną od wcześniejszej walki w obronie ludzi prześladowanych przez system – bo na tym wszak polega obrona praw człowieka. Otóż zajął się obroną praw ofiar.

„Prawa ofiar" brzmią niewinnie, ale tak naprawdę to zaklęcie z repertuaru tzw. populizmu penalnego – sprawdzonej prawicowej metody znajdowania wroga poprzez szczucie praworządnych obywateli na tych, którym noga się powinęła. „Prawa ofiar" oznaczają więc bezwzględne ściganie sprawców, bez oglądania się na okoliczności łagodzące, zaostrzanie kar i pogarszanie warunków w więzieniach, przenoszenie ciężaru z resocjalizacji na zemstę, zwaną w tym przypadku „sprawiedliwością". Przypomnijcie sobie, jak wiele o „prawach ofiar" mówił Zbigniew Ziobro.

Ten obrót – z antysystemowego obrońcy na oberoskarżyciela – nie był jedynym zwrotem w jego życiowej drodze. Inne są nie mniej nieprzyjemne.

Syn mechanika narzędziowego

Książka Baldwina zaczyna się od sceny w pociągu: Starmer nieuprzejmie odburkuje komuś, kto chce z nim porozmawiać o brexicie – albowiem jedzie do szpitala do ojca, który jest umierający. Kiedy jednak tam dociera – dochodzi do wniosku, że *jakakolwiek szansa na wyjaśnienie sobie czegokolwiek minęła*, toteż odwraca się i nic nie mówiąc, wychodzi.

Rzecz w tym, że ojciec brytyjskiego premiera, Rod Starmer, nie był ani przemocowcem, ani alkoholikiem, ani dziwkarzem, którzy porzucił matkę dla młodej dupy. Wręcz przeciwnie – był ciężko pracującym mechanikiem (tytuł szlachecki sir Keir otrzymał za swą pracę w prokuraturze; nie pochodzi z arystokracji) totalnie oddanym swojej przewlekle i nieuleczalnie chorej żonie. Co – jak opowiada lider laburzystów – *stworzyło dystans* między ojcem a nim, albowiem *cała energia emocjonalna* Roda skupiała się na matce Keira i jego trojga rodzeństwa.

Jakim trzeba być pojebanym narcyzem, żeby nie zdobyć się na parę ciepłych słów do umierającego ojca, ponieważ on nie przytulał cię w dzieciństwie – zastanawiam się, ale może to tylko moja dziewczęca egzaltacja.

Gorzej, że kiedy Keir Starmer już postanowił, że chce zostać szefem lewicowej partii i ojciec robotnik jest mu na rękę – rok po śmierci Roda – zaczął eksploatować biedne zwłoki bez najmniejszego skrępowania. Nagle przypomniał sobie, że jego ojciec, mechanik narzędziowy, nie był szanowany tak, jak zasłużył, i on, sir Keir, będzie walczył do upadłego o to, żeby wszyscy ludzie pracy spotykali się z należytym szacunkiem. Nie wiem jak Państwu, ale mnie chce się rzygać.

Bezwzględny łowca antysemitów

O ile cynizm u polityka nie jest cechą szczególnie wyróżniającą – o tyle autorytaryzm to już coś, na co trzeba zwracać uwagę. Niezłomna przyjaźń lidera brytyjskiej lewicy z ultraprawicowym rządem Binjamina Netanjahu powinna dać laburzystom do myślenia – zwłaszcza że została wykorzystana do czystek w partii.

Pisałam już o tym kilka razy: wrogowie poprzedniego lidera Labour Party, wybranego przez partyjne doły wbrew elitom starego lewicowca Jeremy'ego Corbyna, rozpętali przeciwko niemu nagonkę, oskarżając go o antysemityzm. Antysemityzm Corbyna przejawił się w tym, iż upierał się on, żeby wpisując do partyjnego kodeksu etycznego podyktowaną przez środowiska żydowskie definicję antysemityzmu, dodać zdanie, iż *nie ogranicza to wolności wypowiedzi na temat polityki Izraela i praw Palestyńczyków*. Oskarżenia o antysemityzm to jeden z głównych powodów, dla którego w 2019 r. Labour Party przegrała wybory (o tym, jaka była skala tej przegranej, za chwilę), a Corbyn zrezygnował z przewodniczenia partii, torując drogę wyborowi Keira Starmera.

Jedną z pierwszych decyzji nowego szefa było wyrzucenie poprzednika z partii – pod dobrze wypróbowanym zarzutem antysemityzmu (Corbyn został zawieszony, a potem wyrzucony za to, że nie zgodził się bezkrytycznie z raportem mówiącym, iż promował w partii antysemityzm).

Starmer z żelazną pryncypialnością opowiada autorowi swojej biografii, jak *bezwzględnie i z trzeźwym spojrzeniem* będzie egzekwował w partii nowe zasady etyczne: *Ludzie uwierzą w nową politykę tylko wtedy, kiedy kogoś wyrzucę. Jeżeli minister – jakikolwiek minister – dopuści się poważnego złamania zasad, wylatuje*.

Owe „zasady" – to zakaz krytyki Izraela. Antysemityzm – zdaniem Starmera – przejawia się w jakimkolwiek uznawaniu praw Palestyńczyków do życia. Jego oficjalne stanowisko, dotyczące ludobójstwa uprawianego przez rząd Netanjahu, jest takie, że *Izrael ma prawo do obrony*; odmówił poparcia apelu o wstrzymanie ognia, za to poparł odcięcie wody i prądu mieszkańcom Gazy.

Zarzuty o antysemityzm okazały się bardzo użyteczne do czystki w partii – ale były też inne. Na brytyjskiej lewicy zakazana jest np. krytyka NATO czy amerykańskiego imperializmu, a w szczególności – dostrzeganie ich roli we wzroście napięcia, który zakończył się atakiem Rosji na Ukrainę.

W partii powstały specjalne trybunały, które – niczym komisja McCarthy'ego – analizowały najdrobniejsze szczegóły z życiorysów członków partii, np. co zalajkowali na socjalach. Do walki o przywództwo w partii Starmer startował pod hasłem wewnętrznej jedności i zakończenia podziałów – kiedy wygrał, przystąpił do czystki na niespotykaną na lewicy (no, może od lat 30. XX w.) skalę. Członkowie lewego skrzydła partii, zwłaszcza ci kojarzeni z Corbynem, padali jak kawki; w zeszłorocznych wyborach z 200 kandydatów na kandydatów związanych z lewicą Labour Party do startu dopuszczono pięcioro. Za to na scenach różnych wieców obok obecnego lidera Labour Party zaczął pojawiać się – powszechnie i niebezzasadnie uważany dotąd za zbrodniarza wojennego – Tony Blair.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Zwycięski amator darmoszki

To wszystko teoretycznie nie powinno mieć znaczenia, skoro w 2024 r. Keir Starmer poprowadził Labour Party do zwycięstwa – po 14 latach w opozycji i po straszliwej klęsce partii Corbyna w roku 2019.

Tak dla porządku:

wielkie zwycięstwo laburzystów pod wodzą Starmera od wielkiej klęski Corbyna dzieli – uwaga – półtora punktu procentowego. W 2019 r. Labour Party zdobyła 32,1; w 2024 – 33,7 proc. W liczbach bezwzględnych Starmer zdobył o 600 tys. głosów mniej niż Corbyn w 2019 r.

i o ponad 3 mln mniej niż Corbyn w 2017 r. Zmiana w liczbie posłów to efekt spadku frekwencji i pojebanej ordynacji jednomandatowej, a nie jakiegoś wielkiego wzrostu zaufania do partii.

Zwycięzców się nie sądzi – odpowie ktoś – Corbyn nie wygrał wyborów, a Starmer owszem.

Pytanie tylko, na jak długo.

Po pół roku rządzenia gabinet Starmera ma najniższe notowania w historii półrocznych gabinetów – twierdzi lord Robert Hayward, torysowski specjalista od sondaży. „Guardian" go kontruje, mówiąc, że w 1992 r. John Major w ciągu sześciu miesięcy stracił więcej – ale było to po kryzysie walutowym zwanym czarną środą. Tak czy inaczej – Brytowie sądzą, że rząd Starmera daje dupy. Są ku temu liczne powody.

Z jednej strony – polityka, którą trudno nazwać lewicową. Laburzystowski rząd postanowił utrzymać wprowadzony przez konserwatystów limit ograniczający różne formy wsparcia do dwójki dzieci (na trzecie i kolejne już się nie należą) – co pogrążyło w biedzie 450 tys. rodzin wielodzietnych. Do kompletu Starmer obciął zimowe zasiłki na ogrzewanie. Teraz trafiają tylko do najbiedniejszych, co – według wyliczeń samego rządu – wepchnie 100 tys. emerytów w Anglii i Walii w sferę tzw. ubóstwa energetycznego.

Na to nakładają się drobne afery personalne. Najbardziej spektakularna to tzw. *freebies* – darmoszka: rozmaite prezenty, które członkowie rządu, z premierem na czele, przyjmowali od różnych firm. Starmer przytulił *prezenty, korzyści i przejawy gościnności* o wartości ponad 100 tys. funtów. Warto w tym miejscu wspomnieć, że majątek lidera brytyjskiej lewicy jest oceniany na 7,7 mln funtów. Jak komuś się nie chce liczyć, to pomogę: na polskie to 40 baniek.

Noworoczny sondaż, zrobiony na zamówienie dziennika „City A.M." wykazał, że 72 proc. Brytyjczyków uważa, że sprawy idą w złym kierunku. Nowy premier ma najniższy poziom akceptacji wśród wszystkich badanych postaci. Jego wskaźnik aprobaty netto („za" minus „przeciw") wynosi minus 36 – i jest nawet za Donaldem Trumpem, u którego przewaga ocen negatywnych nad pozytywnymi wynosi tylko 34. *Well done, Sir Keir.*

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Chargé d'affaires ambasady RP w Kijowie Piotr Łukasiewicz udzielił wywiadu ukraińskiemu tygodnikowi „Зеркало недели". Dyplomata poinformował, że w Polsce działają tajne ukraińskie fabryki broni. Po chwili dodał, że Polacy nie mówią o tym głośno, ponieważ Polska leży bardzo blisko Rosji. Łukasiewicz mówił tak cicho, że następnego dnia o ukraińskich fabrykach w Polsce pisały wszystkie rosyjskie media.

☆ 16 grudnia Służba Bezpieczeństwa Ukrainy uznała rosyjskiego generała Igora Kiriłłowa za przestępcę. Następnego dnia wojskowy zginął w zamachu terrorystycznym. Kijów odciął się od zabójstwa generała, a doradca Zełenskiego – Michaił Podolak – oznajmił, że *Ukraina nie stosuje metod o charakterze terrorystycznym.* Polskie media o sprawie poinformowały zdawkowo i szybko zapomniały. Dziennikarskie śledztwo przeprowadził tymczasem „New York Times", ujawniając, że działalność terrorystyczna jest rutyną w ukraińskich służbach specjalnych. *SBU jest główną agencją bezpieczeństwa wewnętrznego Ukrainy (…) jej obowiązki rozszerzyły się o przeprowadzanie operacji terrorystycznych i zabójstw w Rosji w ramach kampanii skierowanej przeciwko najważniejszym politykom i wojskowym. Nie mogąc powstrzymać miażdżącego rosyjskiego natarcia na polu bitwy, Ukraina coraz częściej przeprowadza śmiercionośne akcje terrorystyczne. Zaledwie w zeszłym miesiącu SBU wzięła na siebie odpowiedzialność za zamach bombowy na Krymie, w którym zginął starszy dowódca rosyjskiej Floty Czarnomorskiej. (…). Amerykańscy urzędnicy uważają, że w 2022 r. ukraińskie służby bezpieczeństwa stały za zabójstwem Darii Duginy, córki prominentnego rosyjskiego nacjonalistycznego ideologa. SBU wzięła również odpowiedzialność za zabójstwo Walerego Trankowskiego, starszego oficera marynarki wojennej Rosji (…). Analitycy twierdzą, że Ukraina stosuje tego rodzaju operacje, aby zrekompensować sobie straty w starciu z większym i lepiej wyposażonym przeciwnikiem* – pisze dziennik. Już raz Stany Zjednoczone uznały, że wspieranie terrorystów jest genialnym sposobem na osłabianie Rosji. Przez niemal całą dekadę lat 80. za pośrednictwem CIA przekazywali afgańskim mudżahedinom 700 mln dolarów rocznie. Rozdysponowaniem środków zajmowała się – dowodzona przez niejakiego Osamę bin Ladena – organizacja Maktab al-Khidamat, która w 1988 r. przekształciła się w Al-Kaidę.

☆ Na niedawnym szczycie Rady Europejskiej premier Słowacji Robert Fico oznajmił, że jego kraj straci na zablokowaniu przez Ukrainę tranzytu rosyjskiego gazu pół miliarda euro, a to pociągnie za sobą kroki odwetowe wobec Ukrainy (później dowiedzieliśmy się, że chodzi o wstrzymanie przez Słowację dostaw prądu na Ukrainę). Jak donosi magazyn „Politico", za zamkniętymi drzwiami Wołodymyr Zełenski zaproponował, że podaruje Fico 500 mln euro w zamian za słowackie poparcie dla członkostwa Ukrainy w NATO. Premier Słowacji określił propozycję łapówki mianem *absurdalnej*. Były premier Polski, Leszek Miller na portalu X skomentował: *Szczerze mówiąc, oferta taka sobie*.

☆ Były dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych Sławomir Dębski podzielił się swoimi fantazjami z czytelnikami „Rzeczpospolitej": *Zgoda na to, że w początkowej fazie wojny Rosjanie wejdą na nasze terytorium, a my w tym czasie będziemy się koncentrować, przygotowujemy kontruderzenie i po jakimś czasie odbijemy to terytorium, oznacza po prostu zagładę ludności cywilnej na tym podbitym terytorium. Nawet nie chodzi o to, że Rosjanie mogą wszystkich wymordować. Oni, używając swojego tradycyjnego arsenału polityczno-organizacyjnego, będą tych ludzi po prostu wywozić na Syberię. Oni od setek lat deportują ludność z podbijanych terytoriów. Biorąc pod uwagę obecne zdolności, to na wywiezienie ludności z państw bałtyckich potrzebowaliby pewnie miesiąca.* Zgodnie z ta logiką po wyzwoleniu Polski przez Armię Czerwoną w latach 1944–45 wszyscy Polacy winni trafić za Ural. Dlaczego zatem Dębski udziela wywiadu „Rzeczpospolitej", a nie „Syberyjskiej Prawdzie"?

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 176d1681c2

Wokół serialu „Matki pingwinów”

Jebać sentymentalizm

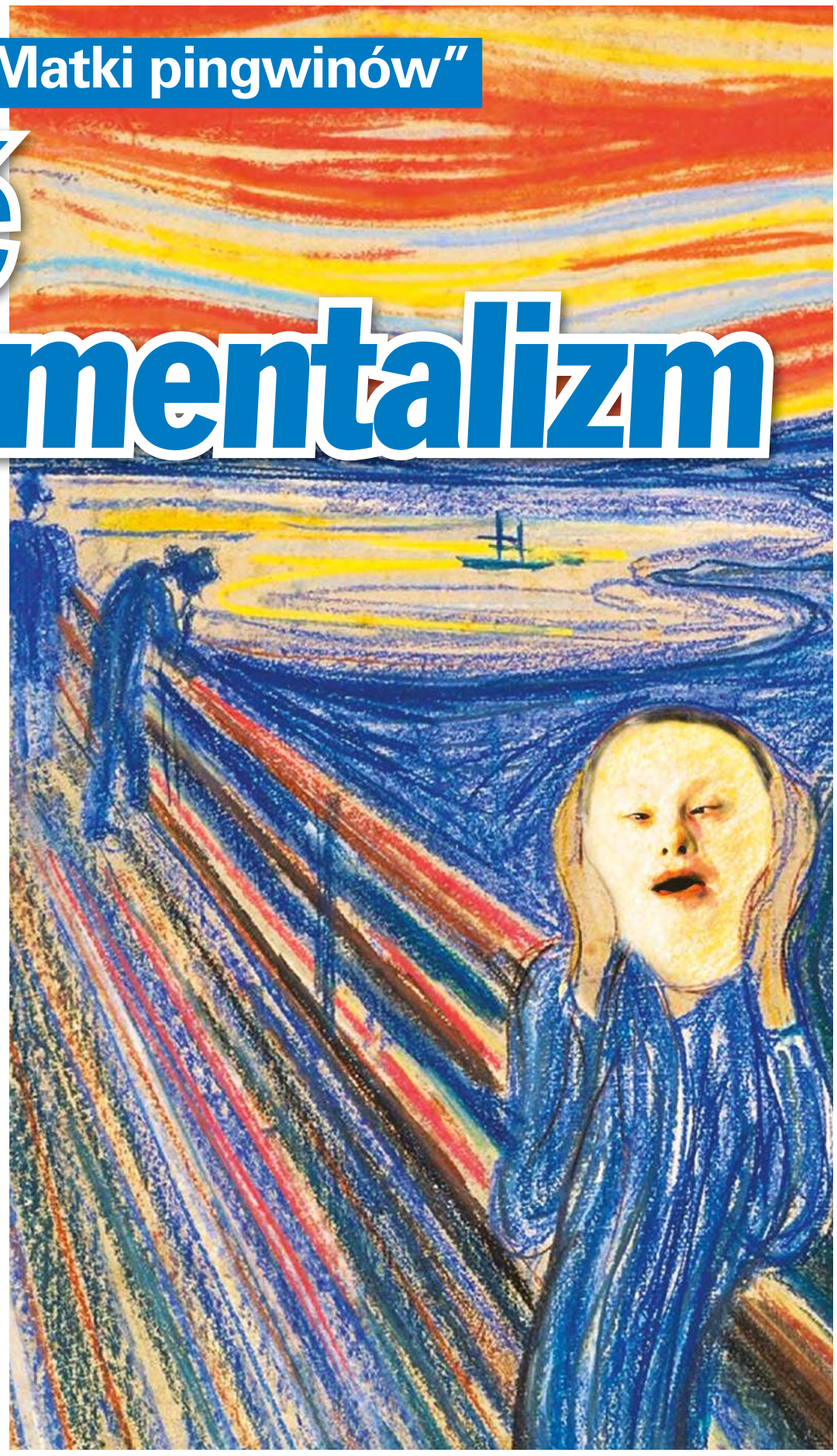

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Magdalena Kostyszyn, znana szerzej jako „Chujowa Pani Domu”, w książce „Też tak mam”, opowiada historię Magdy, matki 18-letniego Kacpra, która miewa wisielczy humor: *Autyzm, padaczka lekooporna, cukrzyca, dna moczanowa. Śmiejemy się, że choroby są jak pokemony. Syn chce zebrać je wszystkie.*

Osoba sentymentalna, pisał trzeźwo Oscar Wilde, *pragnie luksusu odczuwania emocji, bez płacenia za to*. I dodawał: *sentymentalizm to w gruncie rzeczy święto cynizmu*. Postać brytyjskiego dramaturga, który skądinąd targnął się na własne życie po odsiadce za homoseksualność, przypomniała mi się w trakcie oglądania nowego polskiego serialu Netfliksa „Matki pingwinów”.

Cieszy się on sporą popularnością w serwisie (w pewnym momencie był najczęściej oglądanym serialem) i zbiera wśród widzów i krytyków dobre, a nawet entuzjastyczne recenzje. Prestiżowy „New York Times” uznał go za jeden z 20 najlepszych zagranicznych seriali 2024 r.

Liberalne i kobiece portale piały z zachwytu nad tą produkcją, wskazując na walory emocjonalne czy edukacyjne serialu, którego pomysłodawczynią była Klara Kochańska-Bajon. Scenariusz napisały Dorota Trzaska i Nina Lewandowska, a reżyserowały Kochańska-Bajon i Jagoda Szelc (córka znanego satyryka Stanisława Szelca z wrocławskiego kabaretu Elita).

Przed premierą Kochańska-Bajon wyłuszczyła swoją motywację: *Sama jestem mamą i od początku zależało mi na tym, by zrobić taki serial, który da rodzicom siłę do codziennych zmagań. Pozwoli złapać trochę dystansu i humorem odczaruje trudniejsze sprawy. Sprawi, że poczujemy się mniej samotni, bo choć macierzyństwo daje wiele radości, czasem bywa też samotną walką. Szczególnie dla takich rodziców, których dzieci mają dodatkowe wyzwania. O tę perspektywę poszerzamy naszą opowieść*.

Kiedy zaś częścią machiny promocyjnej były dodające na pozór autentyczności słowa reżyserki i scenarzystki, że sama jest matką dziecka atypowego, co dało asumpt do tabloidowych wynurzeń – to już była pełnia szczęścia.

Czemu niby nie kochać serialu, którego główną bohaterką jest Kama, gwiazda MMA, matka dziecka ze spektrum autyzmu? Jest i początkująca influencerka Ula. Ich dzieciaczki są takie słodziutkie! Z nimi klasa średnia może się utożsamiać, o co trudno w przypadku takiej niepełnosprawnej intelektualnej Dżesiki ze wsi popegeerowskiej, niemającej pojęcia, kto jest ojcem jej równie niepełnosprawnych intelektualnie dzieci, które czeka wyłącznie cierpienie i podła wegetacja.

Wzruszenie chwyta za gardło

Entuzjastyczna recenzja na stronie internetowej magazynu kobiecego „Zwierciadło” zatytułowana jest: *„Matki Pingwinów” – serial, który rozjaśnia listopadowe wieczory*. Autorka Dominika Soćko zadaje retoryczne pytanie, czy o sprawach trudnych można opowiadać w sposób lekki i zabawny. Że serial Netfliksa zachowuje zdrową równowagę; choć nie jest tkliwy, *to ma w sobie zdecydowanie więcej słodyczy niż goryczy*.

Soćko przytaczała słowa Kochańskiej-Bajon, że serial powstał z potrzeby ukazania rodzicielstwa z nowej perspektywy, inspirując się doświadczeniami własnymi i innych rodziców dzieci atypowych: *Wyzwania, przed którymi stajemy, są z jednej strony uniwersalne, z drugiej zaś różnorodność dzieci sprawia, że wszystko, co z nimi przeżywamy, staje się jeszcze intensywniejsze. Dzięki temu historie, o których opowiadamy w serialu – szalone, zabawne, wzruszające – działają jak soczewka skupiająca najważniejsze tematy dotyczące rodzicielstwa*.

Zachwycona – na równi serialem, co własnym sentymentalizmem – jest recenzentka lifestyle'owego „Glamour” Joanna Twaróg, zaczynająca swój tekst słowami: *Przepłakałam cały sezon. Ten nowy polski serial Netflixa miażdży, ale i daje nadzieję*. Jej zdaniem, *ten serial wzrusza, ale – jakkolwiek to brzmi – w pozytywny sposób. Daje nadzieję. Jest inteligentny, świetnie skonstruowany i napisany. Co więcej, bywa naprawdę zabawny*. Siła produkcji tkwi rzekomo w tym, iż *twórczynie i twórcy serialu podchodzą do tematów związanych z rodzicielstwem oraz niepełnosprawnościami z pewnego rodzaju czułością. Ale jednocześnie nie zakrzywiają rzeczywistości*.

Do wznoszącego peany chóru dołączyła Ola Gersz z „Na Temat”, przytaczając wysoką średnią ocen serialu na Filmwebie i dodając parę wzmacniających wiarę w człowieka – nawet jeśli ten człowiek ma pecha, będąc Polakiem lub Polką – komentarzy z sieci: *Zaskakująco dobra obsada, ale prawdziwe gwiazdy to dzieci. Mimo zaburzeń, chorób dały radę i to bardzo!!!*; *Z kulturą i mądrze o sprawach trudnych*; *Piękny serial*; *Ważny i potrzebny*.

W gruncie rzeczy mogłabym napisać o serialu: wzruszenie nie pozwala mi ścisnąć za gardło jego twórczyń i fanów, a głównie zaś – fanek. Dlaczego tak jest, wyłuszczę poniżej, odnosząc się do prawdziwego świata „pingwinów” i tych, którzy się nimi opiekują: rodziców i nauczycieli. Wsparciem będą prace reporterskie i naukowe od lat opisujące to zagadnienie w rzeczowy sposób.

Skrzecząca rzeczywistość

Zgodnie ze złotą zasadą teorii krytycznej ważniejsze od tego, co media pokazują, jest to, co one ukrywają. A faktem jest, że – jak pisała jedna z bohaterek książki Jacka Hołuba „Żeby umarło przede mną. Opowieści matek niepełnosprawnych dzieci” – rodzicielki takich dzieciaków są podkurwione, kiedy widzą telewizyjne reklamy fundacji. A w nich *wypindrzone, pachnące, ze zrobioną fryzurą i paznokciami* mamusie, choć mają one pociechy, które niby są biedne, ale ćwiczą i są szczęśliwe. Wskutek tego, mówi matka, *jak to zobaczy zwykły człowiek, który nie ma pojęcia o naszym życiu i nie ma niepełnosprawnego dziecka*, może sobie pomyśleć: *Kurczę, wcale nie jest tak źle. Mamusia zadowolona, dzieciak zadowolony*… „Matki pingwinów” przypominają owe ckliwe i zwodnicze reklamy.

W ciekawy i godny upowszechnienia sposób o serialu i problemach dzieci z niepełnosprawnościami wypowiedziała się na łamach krakowskiej „Wyborczej” Iwona Pasznicka-Longa, dyrektorka miejscowego Zespołu Szkół Specjalnych nr 4. Stwierdziła wprost: *Gdyby ten film pokazywał prawdziwą rzeczywistość rodziców niepełnosprawnych dzieci, nikt by go nie oglądał*.

I dziwiła się, że w produkcji o takich dzieciakach nie ma żadnej szkoły specjalnej ani też szkoły ogólnodostępnej z klasami integracyjnymi. No i „Matki pingwinów” żerują na stereotypach, np. chłopiec z autyzmem jest nieprzeciętnie inteligentny, czasem trochę nieobecny, podczas gdy *nasi uczniowie z autyzmem mają bardzo duże problemy z funkcjonowaniem społecznym, nie potrafią nawiązać kontaktu, krzyczą, drapią, biją, uciekają*.

W depresję wpędzają matkę polskie realia: *Najtrudniejsza w tym wszystkim jest świadomość, że on nigdy nie będzie samodzielny. Lęk o to, co się z nim stanie w momencie, kiedy ja umrę. Kto się nim zajmie. W Polsce jest jeden DPS, który potrafi pracować z dzieciakami z autyzmem. Jeden na całą Polskę, rozumiesz to? To, czego nie usłyszysz od rodzica chorego dziecka, to to, że chciałby, żeby jego dziecko umarło przed nim*.

Adam Mikrut w artykule sprzed dekady, opublikowanym na łamach „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Paedagogica”, zwraca uwagę na problemy przystosowania do warunków szkoły uczniów z lekką (lekką!) niepełnosprawnością intelektualną. Szczególnie kłopotliwe jest połączenie u takich dzieci zachowań agresywnych z wycofaniem, bo jawią się one jako nieprzewidywalne (*nagłe wybuchy agresji wyraźnie kontrastują z pasywnością i nieszkodliwością wynikającą z wycofania*).

Z kolei w tekście Piotra Plichty i Magdaleny Olempskiej-Wysockiej zamieszczonym w „Studiach Edukacyjnych” czytamy o narażeniu na agresję rówieśniczą uczniów szkół integracyjnych. Oto próbka: *Sprawca prowokował, namawiał ucznia z orzeczeniem do wykonywania różnych czynności np.: „wejdź do toalety dla dziewcząt”. Uczeń wykonywał polecenia i tak właśnie cała sprawa wydała się*.

Bajka w służbie okrucieństwa

Oczywiście ktoś może powiedzieć, że „Matki pingwinów” zostały nakręcone, jak by powiedział Henryk Sienkiewicz, ku pokrzepieniu serc. Że jest to bajka dla dorosłych – coś, co nie ma pokazywać rzeczywistości taką, jaka jest, lecz właśnie taką, jaka chcielibyśmy, aby była. A dzięki temu nasze poczucie, że koniec końców świat jest sprawiedliwy i przyjazny, zostaje zaspokojone. Że to raczej coś w stylu milutko bajkowego Disneya, a nie realistycznego horroru.

Z powyższym podejściem jest jednak parę fundamentalnych problemów.

Po pierwsze, jak wiemy od grubo ponad pół wieku dzięki książce Ariela Dorfmana i Armanda Mattelarta „How to Read Donald Duck”, bajki Disneya nie są bynajmniej niewinne, o czym świadczy podtytuł tego klasycznego dzieła: „Ideologia imperialistyczna w komiksach Disneya”. Za fasadą słodkiego świata bajek Disneya kryje się cwana propaganda kapitalizmu, naturalizacja chciwości, pochwała amerykańskiego stylu życia jako jedynego wzorca godnej egzystencji.

Po drugie, jedynie niewielka liczba Polaków ma bliższy regularny kontakt z osobami z zaburzeniami intelektualnymi. Swoją wiedzę o nich czerpią zatem z drugiej ręki. Znacznie łatwiej włączyć Netfliksa, dużo się pośmiać, trochę wzruszyć i pielęgnować swój sentymentalizm, niż spróbować sięgnąć po rzetelne, sprawdzone informacje, które mogłyby popsuć nasze dobre samopoczucie. Gdybyśmy zetknęli się z prawdą o życiu „pingwinów” i ich rodziców, odczuwalibyśmy dyskomfort w obliczu ich cierpienia. A wtedy – nie daj Boże! – mogłoby się okazać, że trzeba by coś w tej sprawie zrobić, i nie mówię o obejrzeniu serialu czy wysłaniu SMS-a za 5 zł plus VAT na chore dzieci.

Po trzecie, wiele wątpliwości budzi to, co naukowo zwie się ideologiami terapeutycznymi mediów masowych. Zamiast mówić coś o świecie (informacja), dostarczać odprężenia (rozrywka), środki przekazu wchodzą w rolę terapeutów leczących na swój pokrętny sposób dusze odbiorców, czyniąc to w sposób podstępny, a przez to tym bardziej skuteczny. To forma psychomanipulacji, która pod płaszczykiem poprawiania nastroju zwodzi nas, wkładając do łba błędne przekonania o świecie wokół i miejscu nas samych w tym świecie.

Po czwarte, sentymentalność bywa raz po raz maską okrucieństwa. Nie jest przypadkiem, że epoka wiktoriańska w Anglii – czas brutalnych podbojów kolonialnych i wilczego kapitalizmu, pruderii oficjalnej i prostytucji seksualnej na masową skalę, także dziecięcej – była niezwykle sentymentalna. Gorzej: we wspomnieniach komendanta obozu zagłady w Auschwitz Rudolfa Hössa mamy łzawą opowiastkę, jak wzruszony płakał on podczas wykonania „Requiem” Verdiego przez Żydów, którzy nazajutrz trafili do pieców krematoryjnych.

Prawdą jest, że pozytywnie należy ocenić sam pomysł uczynienia kwestii niepełnosprawności dzieci w centrum serialu, ale sposób ich ukazania niewiele mówi o nich, a wiele o twórczyniach produkcji, która zapewne czyni więcej szkody niż pożytku. Niechaj więc wybrzmi głośno konkluzja: jebać sentymentalizm!

KATARZYNA KOENIG

REKLAMA

eprasa.pl 176d1681c2

Choroba: wyzwanie, nie wyrok

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

W sporcie można odnosić sukcesy, których nie da się zmierzyć metrami, sekundami czy kilogramami.

Prezentując moją subiektywną dziesiątkę najlepszych polskich sportowców w 2024 r., Aleksandry Kałuckiej nie klasyfikowałem. Brązowa medalistka we wspinaczce na czas dokonała podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu czegoś, co wymyka się zwykłym ocenom. Obiecałem o niej i o jej siostrze bliźniaczce Natalii napisać więcej. Będzie też o dwójce innych sportowców, którzy wygrywają nie tylko z konkurentami.

Niełatwy start bliźniaczek

Wspinaczka na czas w wykonaniu pań stała się polską specjalnością. Działają dwa prężne ośrodki: w Lublinie i w Tarnowie. Aleksandra Mirosław, jedyna polska złota medalistka z Paryża, oraz siostry Kałuckie nie mają sobie równych, a rywalizacja między nimi sprawia, że na pewno jeszcze nie raz cieszyć się będziemy sukcesami.

Bliźniaczki Aleksandra i Natalia Kałuckie urodziły się w Tarnowie w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2001 r. Gdyby ktoś powiedział lekarzom szpitala, w którym przyszły na świat, że oto narodziły się przyszłe wybitne sportsmenki, wyprosiliby takiego delikwenta za drzwi. Trwała walka o ich życie.

Ola i Natalka urodziły się dwa miesiące przed terminem. Lekarska diagnoza była dla rodziców okrutna. Jeśli przeżyją, zostaną dziećmi niepełnosprawnymi. Nie będą chodzić, słyszeć ani widzieć.

Rodzice nie mogli pogodzić się z diagnozą. Prowadzili córki do specjalistów, wydawali pieniądze, których wcale nie było tak dużo, na rehabilitantów, pani Sylwia Kałucka zrezygnowała z pracy, żeby móc całe dnie zajmować się córkami. Okazało się, że dzięki troskliwej opiece dziewczynki mogą żyć w miarę normalnie. Co prawda nie widzą na jedno oko (Aleksandra na prawe, Natalia na lewe), ale w codziennych czynnościach radzą sobie samodzielnie. *W sporcie też radzimy sobie nieźle* – śmieje się mistrzyni świata Natalia Kałucka. Oprócz smykałki do wspinania się po pionowej ścianie łączy siostry jeszcze radosne usposobienie.

Wspinać zaczęły się w wieku ośmiu lat. Przez przypadek. W Tarnowie podczas wakacji zorganizowano zabawy dla dzieci. Jednym z punktów programu było wspinanie się na niedużą ściankę. Ola i Natalia były żywymi dziećmi, uwielbiały łazić po drzewach, a w domu po meblach, nie trzeba ich było więc długo namawiać.

Mimo protestów mamy – która uważała, że jest zbyt wcześnie, aby dziewczynki zajmowały się sportem – pomaleńku doskonaliły umiejętności i zaczęły regularne treningi w Tarnovii pod okiem pierwszego szkoleniowca Tomasza Oleksego.

Jak to w rodzinie

Siostry rywalizują ze sobą, co sprawia, że nie zawsze wśród nich panuje sielankowa atmosfera. Mają różne charaktery. Podczas zgrupowań bywają niekiedy rozdzielane, muszą mieszkać w innych pokojach, by zapobiec poważniejszym nieporozumieniom. Zawody we wspinaczce na czas rozgrywane są w parach; zwycięzca awansuje dalej, przegrany odpada z zawodów. Bywa, że bliźniaczki na jakimś etapie wpadają na siebie. Wówczas panuje spokój w rodzinie. Obie startują bez stresu. Jeśli którejś nie uda się bieg, team Kałuckich i tak będzie wygrany.

Duży wysiłek fizyczny jest szkodliwy dla oczu. Na razie siostry Kałuckie nie mają przeciwwskazań do uprawiania sportu i są pod stałą opieką okulistów. Najważniejsze, że wzrok się nie pogarsza. Niestety, ich wada wzroku należy do bardzo rzadkich i nieoperacyjnych. Twierdzą, że ponieważ na jedno oko nie widzą od urodzenia, nie wiedzą, jak to jest oglądać świat w inny sposób. Wadę wzroku przyjmują jako coś zupełnie normalnego.

Trudno ocenić, na ile przeszkadza im to w uprawianiu wspinaczki. W ich sporcie najważniejsza jest siła mięśni, szybkość i tysiące powtórzeń poszczególnych ruchów podczas treningu. Trenują 6–8 godz. dziennie.

Niemal każdy sportowiec ma w życiorysie poważną kontuzję. Nie inaczej jest z brązową medalistką igrzysk w Paryżu. Aleksandra Kałucka podczas zgrupowania w Słowenii spadła podczas treningu bulderingowego na kilkumetrowej ścianie bez asekuracji. Złamała nogę w kilku miejscach, kość przebiła skórę. Nie będzie słowa przesady w stwierdzeniu, że siostry od maleńkości nauczone są walki z przeciwnościami. Po pięciu dniach w słoweńskim szpitalu, operacji i powrocie do kraju nie przestała ćwiczyć, choć przez pierwsze miesiące mogła trenować tylko górne partie ciała.

Marzeniem sióstr Kałuckich jest wspólny start w finale igrzysk olimpijskich. Każdy kraj mógł w Paryżu wystawić maksymalnie dwie reprezentantki, które musiały przejść etap kwalifikacji. Pojechały dwie Aleksandry – Mirosław i Kałucka. Natalia też pojechała, ale po to, aby kibicować siostrze. Team Kałuckich nie mógł przecież wrócić z Paryża bez medalu.

Brązowa medalistka z Paryża mieszka dziś w Edynburgu, gdzie studiuje na wydziale matematycznym. Cztery tygodnie przed startem w Paryżu obroniła licencjat. Teraz pisze pracę magisterską. Oczywiście przed wyjazdem do Szkocji sprawdziła, czy w Edynburgu jest odpowiednia ścianka do trenowania wspinaczki. Jest.

Lewa ręka Natalii

Natalia Partyka urodziła się bez prawego przedramienia. W wieku siedmiu lat zaczęła grać w tenisa stołowego. Niepełnosprawność nie przeszkodziła jej w odnoszeniu sukcesów zarówno wśród niepełnosprawnych, jak i pełnosprawnych. W obu tych kategoriach zdobywała medale. Czterokrotnie reprezentowała Polskę na igrzyskach olimpijskich oraz sześciokrotnie wygrywała igrzyska paraolimpijskie. W Paryżu zdobyła medal srebrny (indywidualnie) i brązowy (w grze podwójnej). Jest – obok pływaczki z RPA Natalie du Toit – jedyną zawodniczką, która brała udział zarówno w igrzyskach olimpijskich, jak i paraolimpijskich.

Natalia jest bodaj najbardziej znaną sportsmenką igrzysk paraolimpijskich. Debiutowała w nich w Sydney w 2000 r. w wieku zaledwie 11 lat. Od Aten przez Pekin, Londyn, Rio de Janeiro i Tokio zdobyła cztery złote medale za grę indywidualną. W Paryżu była bliska piątego, w finale przegrała jednak z reprezentantką Australii Yang Quian, powiększyła więc dorobek „tylko" o srebrny medal. W parze z Karoliną Pęk zdobyła medal brązowy.

Gra oczywiście lewą ręką, jej najmocniejszą stroną jest obustronny atak topspinowy. Obecnie reprezentuje barwy czeskiego klubu SKST Hodnín.

Przeoczenie, nie koksowanie

W dzień rozpoczęcia igrzysk olimpijskich w Paryżu media poinformowały o zawieszeniu Mateusza Rudyka. Powodem zawieszenia jedynego polskiego reprezentanta w kolarskich torowych konkurencjach sprinterskich było wykrycie podczas kontroli antydopingowej w jego organizmie insuliny. Wynik ten dała próbka pobrana podczas poprzedzających igrzyska zawodów w niemieckim Cottbus. Insulina znajduje się na liście zakazanych środków dopingowych.

Mateusz się nie wypierał. Owszem, przyjmował insulinę. Więcej, musiał ją przyjmować, bo od 12. roku życia choruje na cukrzycę typu 1 (tzw. insulinozależną). Oczywiście informował o tym Międzynarodową Komisję Antydopingową (WADA). W takich przypadkach zawodnik otrzymuje tzw. certyfikat TUE. Polskiemu sprinterowi w Paryżu go zabrakło. Inaczej – miał ten certyfikat, ale był on nieważny. Z reguły w przypadku cukrzycy i konieczności stałego przyjmowania insuliny certyfikat TUE przyznaje się bezterminowo. Rudyk i jego opiekunowie nie zauważyli, że jego certyfikat był na czas określony. Nie była to wpadka dopingowa zawodnika, ale błąd proceduralny.

W tym miejscu trzeba dodać, że cukrzyca typu 1 jest chorobą nieuleczalną; przez przyjmowanie leków – głównie insuliny – i odpowiedni tryb życia można tylko poprawić komfort życia. Jeśli przestrzega się wszystkich zaleceń, da się funkcjonować w miarę normalnie.

W tym miejscu przypominają się opisywane w środkach masowego przekazu przypadki naszej komisji orzekającej o niepełnosprawności. Chory po amputacji nogi otrzymywał zaświadczenie o niepełnosprawności na dwa lata i całą procedurę musiał przechodzić od nowa. Czy orzecznicy zakładali, że za dwa lata noga mu odrośnie?

Sam jestem – oczywiście nie w tak drastycznym stopniu – przykładem takiego orzecznictwa. Zaświadczenie o niepełnosprawności i stosowną legitymację otrzymałem na czas nieokreślony, ale kartę parkingową, upoważniającą do stawiania samochodu na kopertach, tylko na pięć lat. Moja neurologiczna choroba nóg, podobnie jak cukrzyca, jest nieuleczalna i za pięć lat może być tylko gorzej.

Siedzenie w domu nie leczy

Po wykryciu insuliny w organizmie polskiego kolarza znalazł się on na liście przyłapanych na dopingu. Działać trzeba było natychmiast. Odkręcić sprawę nie było jednak łatwo. W procedurę zaangażowanych było kilka instytucji: Międzynarodowa Unia Kolarska, WADA i jej narzędzie wykonawcze czyli Międzynarodowa Agencja Testowa, a liczył się każdy dzień. Mateusz Rudyk figurował przecież cały czas na liście dopingowiczów.

Udało się dosłownie w ostatnim momencie, ale co zawodnik przeżył, to jego. W sprincie zajął piąte miejsce. Dobre, ale sam powiedział, że liczył na trochę więcej. W końcu w CV ma brązowy medal mistrzostw świata, mistrzostwo Europy w sprincie drużynowym i po trzy srebrne i brązowe indywidualne medale mistrzostw naszego kontynentu.

Może medale nie są jednak najważniejsze. Mateusz Rudyk pochodzi z kolarskiej rodziny. Ścigali się na rowerze jego ojciec i brat, on nie miał wyboru, też musiał.

Mateusz bardzo często mówi o swojej chorobie. Nie po to, żeby szukać wymówek po słabszych startach albo użalać się nad sobą. Pragnie przekonać wszystkich, że cukrzyca nie musi, a nawet nie powinna, stanowić usprawiedliwienia bezczynności.

Przeciwnie – sport (niekoniecznie wyczynowy) jest jednym ze skutecznych lekarstw. W Paryżu medalu nie zdobył, ale medal powinno mu przyznać Polskie Towarzystwo Diabetologiczne za upowszechnianie wiedzy o tej chorobie nękającej miliony Polaków, spośród których niektórzy nawet nie wiedzą, że na nią chorują, zanim szkody w organizmie będą nieodwracalne. Każdy powinien badać poziom cukru we krwi – przypomina stale Mateusz Rudyk.

Prawdziwych amatorów we współczesnym sporcie już nie ma. No, może tylko polskie dziewczyny grające w hokeja na lodzie, które w imponującym stylu zwyciężyły pierwszy turniej kwalifikacji preolimpijskich, wygrywając ze znacznie wyżej notowanymi rywalkami uprawiającymi sport zawodowo. Ze wspinania się na czas, tenisa stołowego i kolarstwa torowego da się wyżyć, o ile uprawia się te dyscypliny na odpowiednio wysokim poziomie. Kokosów jednak nie ma.

Mateusz Rudyk na pewno mógłby więcej zarobić, gdyby przesiadł się z roweru torowego na szosowy, jak to zrobiła jego koleżanka Daria Pikulik, która w Paryżu zdobyła srebrny medal na torze, a już dzień później startowała w barwach amerykańskiej szosowej grupy zawodowej w Tour de France.

Dla niektórych sportowców pieniądze nie są na pierwszym miejscu życiowych pragnień. Oni chcą udowodnić coś sobie. Właśnie o nich opowiedziałem.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 8.01.2025 r.

eprasa.pl 176d1681c2

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Chyba w piątek rano prezydent Duda zauważył, że coś jest z nim nie tak. Koszula za luźna, rękawy marynarki za długie, pasek zapina się nie na tę dziurkę co zawsze. Po południu Duda dokładnie przejrzał się w lustrze i spostrzegł, że tam, gdzie dotychczas miał nos, ma czoło, a nos nieznacznie się obniżył. W sobotę zwierciadło pokazywało, że w miejscu czoła jest czubek. Czubek głowy.

Po śniadaniu prezydent wezwał Mastalerka: – Weź mnie zmierz.

I tak jak w dzieciństwie stanął przy framudze drzwi, żeby Mastalerek mógł zaznaczyć kredką poziom jego wzrostu, a potem zmierzyć ów poziom metrówką.

– Metr osiemdziesiąt – stwierdził Mastalerek i wrócił do swoich zajęć, przy czym nikt nie wiedział, czym on się zajmował.

A był metr osiemdziesiąt dwa – pomyślał Duda. Ale może metrówka była felerna…

Wieczorem piżama okazała się za duża.

– Pewnie rozciągnęła się w praniu – orzekła Dudowa.

W niedzielę prezydent zerwał się z łóżka wcześniej niż zwykle, stanął przy framudze i kredką zaznaczył czubek. Czubek głowy. Niedzielny ślad kredki był o dwa centymetry niżej niż sobotni.

Najwyraźniej Duda się kurczył.

Jeszcze tego samego dnia wezwano lekarza, a potem zwołano konsylium. Diagnoza: kurczenie się prezydenta następuje powoli, ale stale. Terapia: HGH, czyli hormon wzrostu, dwa razy dziennie.

– Kiedy można się spodziewać efektu? – zapytał Duda.

– Co pan rozumie przez efekt, panie prezydencie?

– No, kiedy pojawi się wzrost wzrostu?

– Najpierw musimy powstrzymać spadek wzrostu – odrzekł najważniejszy lekarz i pokręcił głową.

Po tygodniu, gdy prezydent mierzył sto siedemdziesiąt pięć centymetrów, zwiększono dawkę HGH do czterech razy dziennie. Po dziesięciu dniach Duda polecił kupić nowe narty i kijki – krótsze.

Na korytarzach, w kuluarach, wreszcie na salonach zaczęto szeptać: karzeł, krasnal, pokurcz. Dudzie nadano ksywkę: Mały.

Po trzech tygodniach, gdy wzrost głowy państwa wynosił nieco ponad półtora metra, premier Tusk polecił opublikować oficjalny komunikat: Prezydent Andrzej Duda jest człowiekiem małym.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN dziwi się, że rządząca koalicja krytykuje nieobecność Dudy na inauguracji polskiej prezydencji w UE. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** się nie dziwi, bo ta koalicja już niczym nie jest w stanie jej zadziwić.

Senyszyn: – Skoro ma się Dudę za nic, po co w ogóle komentować brak niczego?

Wołk-Łaniewska: – Mnie w tej sprawie najbardziej ubawił red. Chrabota z „Rzeczpospolitej", który olał Dudę, ale przejął się Nawrockim, albowiem Nawrocki nie poszedł do Teatru Wielkiego, tylko na protest rolników. Toteż naczelny „Rzepy" pyta przejęty: *Czy Karol Nawrocki jako prezydent RP też będzie się zachowywał jak Andrzej Lepper?* Nie znoszę Nawrockiego jak psy dziada, całe życie zawodowe poświęcił na kłamanie o Polsce Ludowej, ale jakby miał zachowywać się w Pałacu Prezydenckim jak Lepper, to chyba na niego zagłosuję…

– Nie strasz, nie strasz. Tak nie można mówić nawet w żartach. A poza tym, gdzie mu do Leppera. To był prawdziwy ludowy trybun. A Wersalu i tak nie będzie.

– *Bo ludzie na chleb nie mają*. To był ciąg dalszy tego słynnego zdania Leppera, co mało kto pamięta. A to dość ważne. Jak ludzie na chleb nie mieli w okolicach Wersalu, to jego lokator stracił głowę, a nie tylko lepsze towarzystwo.

– A ty znowu rewolucję wywołujesz?

– A jak, na dobry początek roku… A u ciebie co słychać, bośmy się po sześciu królach nie widziały?

– Zwycięstwo odniosłam.

– Hurra! Niech żyje! A nad kim?

– Nad pamięcią Jana Pawła II…

– Lepiej by było nad samym JP2…

– Nie wiem, czy słyszałaś, ale nie żyje. A w życie pozagrobowe nie wierzymy, przypomnę. Natomiast Stowarzyszenie Pamięć JPII z Rejowca Fabrycznego poległo na całej długości. Sąd Okręgowy w Lublinie oddalił w całości jego powództwo o ochronę dóbr osobistych wytoczone mi z pomocą szefa Ordo Iuris adwokata Kwaśniewskiego, który już kolejną sprawę doprowadził do przegranej. Myśleli, że się na mnie wzbogacą, a tu znowu klapa.

– To jeszcze tylko jeden i będzie hattrick. À propos…

– Czego?

– Hattricka. To taki termin futbolowy podobno. Otóż spędziłam ostatnio 24 godziny w samochodzie – 12 w jedną i 12 w drugą – i z nudów oglądałam różne dziwne rzeczy na FB. Między innymi takie filmiki, w których facet zaczepiał różnych ludzi na ulicach Londynu i mówił: *Powiedz mi coś dziwnego o swoim kraju*. I wymyśliłam: *Polacy uważają, że naszym sportem narodowym jest piłka nożna, w którą kompletnie nikt nie umie tu grać*. Sprawdziłam: w historii mistrzostw świata zdobyliśmy dwa medale, oba brązowe, jeden w 1974, drugi w 1982 r. Teraz ty.

– Wolę przypomnieć Mariana Załuckiego, który tak dowcipnie scharakteryzował naszą nację: *Bo Polak – jeśli nie baron, nie hrabia – oszczędny jest z dziada pradziada. Owszem: wydaje więcej, niż zarabia. Ale tę resztę odkłada!* A skoro już się zgadało o sporcie: zachwycił mnie niejaki Adrian Wantowski z Flashscore.

– A kto to jest?

Rys. WIDGET

– Jeden facet, co występuje we Flashscore. Nieważne. Słuchaj: *Niesamowite, jak my nie doceniamy, że żyjemy w czasach Igi Świątek i przyzwyczailiśmy się do jej sukcesów. Triumf w turnieju wielkoszlemowym i historyczny medal olimpijski w tenisie nie daje jej miejsca na podium.*

– Podium czego?

– Plebiscytu „Przeglądu Sportowego" na sportowca roku 2024.

– Aha… To niezwykle ważne wybory…

– Najwyraźniej. Facetom sport pada na mózg. Nie żyjemy w czasach Świątek, żyjemy w czasach wojny rosyjsko-ukraińskiej, apetytu Trumpa na Kanadę i Grenlandię, postpandemii i jeszcze paru post…

– Ale ja go trochę rozumiem, bo mnie ostatnio szczerze ucieszył taki mem: *Kiedy jest ci źle, pomyśl sobie, jakie to nieprawdopodobne zrządzenie losu, że żyjesz w tych samych czasach co Mads Mikkelsen*… W razie, gdyby ktoś z Czytelników nie wiedział, kto to jest – z powodu bycia, dajmy na to, mężczyzną – to Mads Mikkelsen jest najpiękniejszym facetem na świecie. Zapierającym dech w piersiach wcieleniem wszelkiej doskonałości.

– Przede wszystkim jest świetnym aktorem. Widziałam go w „Kochanku królowej". Nie powiem, przystojny, ale żeby aż takie pensjonarskie zachwyty… Ja o poważnych sprawach chciałam pogadać…

– A gadaj sobie…

– W starożytności największą karą było skazanie na zapomnienie, a u nas ciągłe życie przeszłością: za kaczyzmu była wina Tuska, teraz wina PiS-u. Sejm nie może uchwalać ustaw, bo prezydent nie podpisze. Tak się zniechęca ludzi. Żeby porwać, trzeba być…

– Madsem Mikkelsenem...

– Trzeba być sprawczym i mieć wizję przyszłości, a przynajmniej hasło takie jak Kwaśniewski.

– *Wybierzmy przyszłość*. Najlepiej z Madsem Mikkelsenem.

– No żeż, uduszę cię chyba z tą twoją pensjonarskością…

– A bo postanowiłam być niefrasobliwa i kobieca w nowym roku.

– A obiecywałaś nie czynić postanowień. Wracając do tematu: zamiast wizji Tusk ma stary bon mot przejęty od Rostowskiego: *pieniędzy nie ma i nie będzie*. A ludzie chcą pieniędzy, nie chcą władzy, która ich nie ma i nie daje. To dlatego ponad połowa Polaków źle ocena rząd Koalicji 15 października. W tym aż co dziewiąty wyborca obecnej władzy.

– Myślę, że więcej niż co dziewiąty, tylko sporo nie chce się do tego przyznać. Ja w każdym razie jestem wyborcą obecnej władzy – głosowałam na NL w końcu – i jestem niezadowolona jak cholera.

– Zresztą i posłowie koalicji mają marną opinię o rządzie. Poseł KO Witold Zembaczyński w rozmowie z „Super Expressem" stwierdził, że uposażenia powinny być uzależnione od poziomu odpowiedzialności, sugerując, że najwyższe wynagrodzenia powinny przypadać wiceministrom, ponieważ są oni specjalistami we własnych dziedzinach. Oczywiście przesadził. Jeden z profesorów UG, będący na początku lat 90. doradcą liberałów, twierdził, że jak ktoś nie jest w żadnej dziedzinie fachowcem, to może być tylko premierem.

– To jest nawet zgrabny bon mot, ale ja mam przekonanie, że premier powinien być fachowcem. A konkretnie ekonomistą.

– W zasadzie się z tobą zgadzam, ale uzasadnij.

– Bo wtedy rozumie, jak funkcjonuje państwo. A dobrze by było, gdyby rozumiał. Doświadczenie z historykami i prawnikami na stanowisku premierów mamy średnie… Joanno, może byś została premierzycą?

– W tym roku raczej się nie kroi…

– To prezydencicą chociażby?

– Jeszcze nie zdecydowałam. Ale mamy już kolejnego amatora do pilnowania żyrandoli. Chyba pora otworzyć sklep z artykułami oświetleniowymi. Na miejscu władz Razem postawiłabym na Matysiak, nie na Zandberga, bo przynajmniej na końcu tabeli byłaby ciekawa rozgrywka z Biejat.

– Kiedyś Biejat wydawała mi się ciekawa. Teraz jakby trochę mniej, bo gdy zaczęła mówić od siebie, to się okazało, że nie ma za wiele do powiedzenia. Na koniec nutę optymizmu chciałam wprowadzić.

– Wprowadzaj.

– Według badania SW Research 48,9 proc. Polaków planuje przyjąć księdza, który przyjdzie po kolędzie, czyli po gotówkę. A najciekawsze jest to, że media, informując o tym wyniku, zdają się sugerować, że to dużo. W naszym katolicki narodzie tylko co drugi Polak chce zaprosić kapłana do domu!

– Jeszcze ciekawsze jest badanie sprzed paru lat, gdzie 64 proc. ankietowanych oznajmiło, że księża podczas kolędy nie powinni brać pieniędzy.

– To po co na mróz wychodzić?

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 176d1681c2